

Rok XXXI

Nr e-128 (324)

Czerwiec 2017

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Majowy dzień w Górach Stołowych	Krzysztof Gdula	3
Żeliwny lew wraca na Starościńskie Skały	Krzysztof Pik	5
Dwie bitwy pod Ścinawą	Rafał Śledzik-Kamiński	8
Wystawa na Dworcu Głównym PKP we Wrocławiu	Zbigniew Piepiora	9
Wrocławski Pałac Kopciuszka	Anna Oryńska	11

OJCZYSTE SZLAKI

Dęby z imieniem polskiego Papieża	Tomasz Kowalik	12
Trzy cuda nad Motławą	Tomasz Kowalik	14
Sabała pieniński	Ryszard M. Remiszewski	16
Puławy – Kazimierz – Nałęczów	Alina Dopart	17

TRASA MIESIĄCA

Zielony szlak purpurowej naparstnicy	Bartosz Skowroński	19
Do schroniska (wiersz)	Wincenty Faber	21

Z EKOLOGIĄ NA SZLAKU

Bocianie szlaki są też dla ludzi (1)	Tomasz Kowalik	22
--	----------------------	----

GLOBTROTER

Kijowska rozmowa o statkach kosmicznych	Janusz Fuksa	23
Dampferparade unter dem Blaues Wunder	Miroslaw J. Barański	26

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Biblioteka RPK w Bukowcu wyróżniona	Krzysztof Tęcza	28
Seminarium na Przełęczy Okraj	Zbigniew Piepiora	29
Krajoznawcze spotkania rodzinne	Sławomir Chojnacki	30
Pociągiem przez Beskidy	Juliusz Wysłouch	32

PORADNIK TURYSTY

Rekord nie do pobicia	Juliusz Wysłouch	33
-----------------------------	------------------------	----

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

„Lawina turystyczna” A.D. 2017	Tomasz Kowalik	34
--------------------------------------	----------------------	----

RECENZJE, NOWOŚCI

Jest taki rocznik krajoznawczy	Tomasz Kowalik	36
Materiały krajoznawcze i kartograficzne Gdyni i całych Kaszub ...	Janusz Zaremba	37
Archeologiczne zabytki Pomorza	Janusz Zaremba	38

Na okładce: Dunnottar Castle na klifach nad Morzem Północnym w Szkocji. Fot. Piotr Dacko

Majowy dzień w Górach Stołowych

W sobotni wieczór gorączkowo przeglądałem mapy i przewodniki: kusili mnie te długie dukty leśne na pustkowiu Gór Bystrzyckich, ale w ostatniej chwili ponownie wybrałem Góry Stołowe. Trasę, jak zwykle, wybrała moja zachłanność: z parkingu przy bezimiennej drodze pod Batorówkiem szlakiem żółtym, a później zielonym, *via* Urwiska Batorowskie do Karłowa, tam obiad, dalej żółtym szlakiem przez Białe Skały, Torfowisko Batorowskie, rejon skalnych grzybów – do Batorówka. Gdy później podliczyłem drogę, okazało się, że w ciągu jedenastu godzin przeszedłem około 30 kilometrów. Firmowy bus, którym jechałem za uprzejmą zgodą szefa, jest wielkości spasionego diplodoka, a jego apetyt na paliwo dorównuje rozmiarom, więc kazałem mojej pani z pudełeczka GPS wybrać najkrótszą trasę. Wiedziałem, że będzie wiodła mnie dziurawymi, podrzędnymi drózkami, ale godziłem się na to także z powodu atrakcyjności takiej trasy w górach. W tym oczekiwaniu nie zawiodłem się.

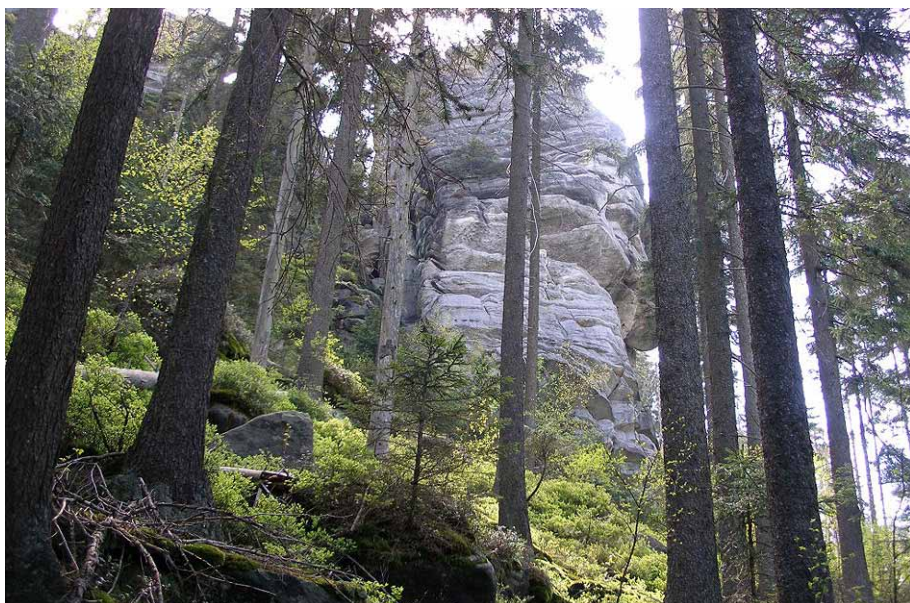
Gdy patrzę na wąską i mało znaną, czasami nawet bez numeru, szosę meandrującą wśród pól, lasów i wzgórz, mam wrażenie jej lekkości, zwiewności nawet; wydaje mi się, że ta droga ledwie dotyka zieleni traw, a silniejszy powiew wiatru może ją zdmuchnąć, na powrót czyniąc ziemię dziewiczą. Takie drogi są jej przyjazne: ocienione jaworami wspinają się bez protestów na pagóry i ochoczo opadają w doliny, wymijają stare domy i odwieczne kamienie, skręcają ku małej wiosce schowanej w fałdzie ziemi, wiosce, o której nikt nie pamięta, poza nimi i garstką mieszkańców. Takie drogi uśmiechają się do podróżującego, są ciekawe ludzi i świata wokół.

Autostrada jest inna: obca, wyniosła, pyszna, ignorująca krajobraz. We wzgórzach ryje głębokie wąwozy wyglądające niczym rany ziemi zadane pługiem olbrzyma, dziurawi góry, zasypuje doliny lub wznosi się nad nimi estakadami, odsuwa się od ludzkich siedzib poboczami i ogrodzeniami, pędząc nieprzystomnie i nic nie widząc wokół siebie, z wyjątkiem niedosiężnego horyzontu. Ją tylko pęd interesuje i pochłaniane kilometry. Kilka domów, leśniczówka, wstążka asfaltu i kamienisty parking na brzegu lasu. Batorówek, początek mojej dzisiejszej drogi.

Góry Stołowe mają wyjątkową budowę: ich wysokie partie są rozległymi równinami pokrytymi lasem; wśród drzew, głównie świerków, ukrywają się najdziwniejsze stwory kamienne. Do najbardziej znanych form należą oczywiście grzyby, a ich różnorodność ograniczona jest właściwie tylko naszą spostrzegawczością i zdolnością do nadawania nazw.

Główny masyw naszych Gór Stołowych, ta wielka i wysoka równina wierzchowiny, od strony południowego zachodu kończy się długim skalnym obrywem. Idąc zielonym szlakiem od Batorowa, nagle dostrzega się niebo między szarymi pniami świerków, ścieżka kończy się skalnym występem, drzewa zostają w tyle i oto otwiera się przed nami wielki przestwór ziemi i nieba. Skała Józefa na początku długiego Urwiska Batorowskiego, jedyne miejsce, z którego mogłem nasycić oczy dalą.

Coraz częściej wydaje mi się, że ona właśnie, dal, jest tym, co najbardziej jest mi potrzebne i co najmocniej woła mnie w góry, bo przecież nie samo zdobycie szczytu: cóż to za wyczyn wejść na sudecki szczyt?



Białe Skały



Rejon skalnych grzybów

i pójść prosto przed siebie, ku Dali widocznej wśród niebieskich szczytów, ale ona jest niedościgła jak horyzont. Jak marzenia.

Takie miejsca mają dla mnie jeszcze jeden urok, a jest nim kontrast. Przede mną przestrzeń pozwalająca na swobodny lot wzroku, góry jak budowle w dziecięcej piaskownicy, miasteczka jak kolorowe plamki na ogromnej połaci ziemi, a wystarczy odwrócić głowę, by horyzont – ścianę drzew – mieć niemal na wyciągnięcie ręki. Idąc tym lasem łatwo zapomnieć o wędrówce górami, o których w ostatniej chwili przypominają skalne obrywy i horyzont uciekający w dal.

Nie znalazłem zaznaczonego miejsca widokowego w pobliżu kapliczki stojącej przy urwisku, mimo iż kręciłem się wokół niej, ale znalazłem wiele innych, przynajmniej kilkanaście miejsc widokowych niezaznaczonych na mapie, jednak widoków domyślałem się tylko: około dziesiątej zaczął padać deszcz, a wiatr przyniósł mgłę. Przydała ona uroku drzewom rosnącym na samych krawędziach skał, a te uczyniła większymi, bardziej surowymi i dzikimi, ale pozbawiła mnie dali.

Wędrując skrajem urwiska natknąłem się na rozpadliny znane mi ze Szczelińca i tak charakterystyczne dla tych gór: wśród kęp jagód i małych świerków ciemnieje zygzakowata czarna pręga pęknięcia skalnego masywu. Czasami ma głębokość paru metrów, czasami jest znacznie głębsza, bez dna, bo to ginie w ciemnościach szczeliny. W jednym miejscu znalazłem pęknięcie otwierające się na obniżenie z łagodnymi brzegami; zszedłem tam chcąc poczuć, jak na Szczelińcu, ten dziki, pierwotny, bo nierozumny, strach człowieka przygniatanego skałami. Skały szczeliny były zimne, wilgotne, czarne, ale nim cokolwiek poczułem, zobaczyłem plastikową butelkę po napoju leżącą na dnie. Zniechęcony wyszedłem. Większość tych szczelin jest wąska, przekracza się je bez ryzyka i wysiłku, ale są też takie, które kuszą do wykonania ryzykownego skoku. Jedna z takich szczelin oddzielała mnie od pionowego słupa skalnego, na wierzchu którego rosło parę rachitycznych, wykręconych wiatrami sosenek, oraz kępa jagód – miniaturowy ogród nad przepaścią, tak bliski, a tak odległy.

Z Przełęczy Lisiej poszedłem do Karłowa na obiad. Diabeł mnie podkusił wejść do innej niż planowałem restauracji i to przez niego wydałem kupę pieniędzy na coś, co tylko mój głód uczynił jadalnym; więcej mnie tam nie zobaczę.

Owszem, jest jeszcze droga, na którą z takim upodobaniem patrzę, ale droga jest dla mnie wszędzie, gdzie jest przestrzeń, gdzie pola są i lasy. Góry dają mi nadto Dal – fascynującą i niedosiężną właścicielkę magnetycznego uroku.

Stałem na skalnej półce mając u stóp dolinę i wierzchołki drzew, a przed sobą szczyty Gór Bystrzyckich siniejące dalą i zbliżającym się deszczem; lekko na prawo górowała nad innymi Orlica, ta sama, na którą wdrapywałem się parę miesięcy temu brnąc w głębokim śniegu.

Chciałoby się zejść w dolinę



Maczuga

Po powrocie na przełęcz wszedłem na żółty szlak, którym *via* Skalna Furta doszedłem do rejonu skalnych grzybów. Odwiedziłem je po raz trzeci i ponownie, jak za pierwszym razem, tylko przypadek pozwolił mi odnaleźć ukrytą wśród świerków i odsuniętą od szlaku najpiękniejszą maczugę, o której fama (puszczona przeze mnie) głosi, że zostawił ją tam Herakles w czasie jednej ze swoich licznych wędrówek.

Wśród gęstych drzew stoi też tam gdzieś skamieniały dinozaur, rodem ze snu twórcy horrorów: z poczwarnego kadłuba wyrasta szyja pokryta potwornymi węzłami mięśni, dźwigająca dziobaty, ptasi łeb. Chciałem się przywitać z tym niesamowitym stworem, ale stał nieporuszony i wyniosły, w nosie mając mnie i cały świat wokół.

Na szlaku spędziłem blisko 11 godzin, wróciłem syty drogi, ale niesyty dali.

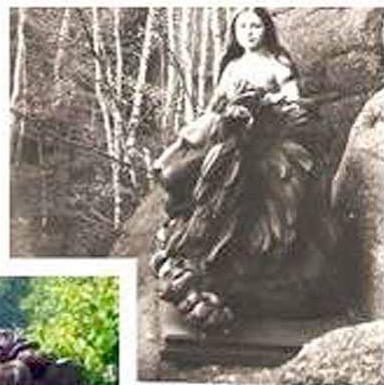
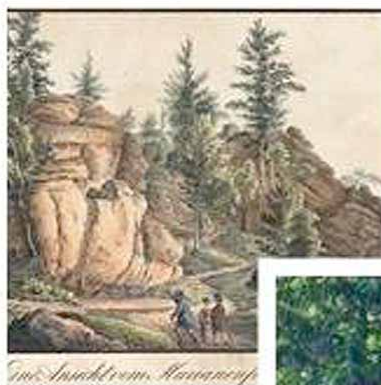
Krzysztof Gdula

Żeliwny lew wraca na Starościńskie Skały

6 marca 2017 roku w siedzibie Związku Gmin Karkonoskich w pałacu w Bukowcu odbyło się spotkanie dotyczące powrotu rzeźby żeliwnego lwa z Jeziora Żłotnickiego na Lwią Górę w Rudawach Janowickich. W spotkaniu uczestniczyli Iwona Niedźwiedzińska – Radna Gminy Janowice Wielkie, Andrzej Wysoczański, Witold Szczudłowski – Dyrektor ZGK i Krzysztof Tęcza – Prezes Zarządu Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Historia „Lwa czuwającego” (jednego z sześciu żeliwnych odlewów) sięga 1822 r. Przez ponad 150 lat stał on na skalnej półce na Starościńskich Skałach w Rudawach Janowickich. W bliżej nieokreślonym czasie i okolicznościach zniknął. Niby bez śladu. Po latach bracia Wysoczańscy ze Strużnicy natrafili na jego trop nad zaporą na Jeziorze Żłotnickim. Nie było pomysłu na przywrócenie rzeźby jej pierwotnemu miejscu (lub czas był nieodpowiedni na rozpoczęcie starań o to). Mijały kolejne lata, aż w końcu po zebraniu dowodów i podjęciu stanowczej decyzji Iwona Niedźwiedzińska, z pomocą braci Wysoczańskich, podjęła działania mające na celu odzyskanie tego XIX-wiecznego dzieła artystycznego i jego powrót na Starościńskie Skały, jako ważnego i pozytywnego elementu tego miejsca.

W czasach, kiedy w Karpniach (wówczas Vischbach) rezydował (od roku 1822) książę pruski Wilhelm von Hohenzollern, brat króla Prus Fryderyka Wilhelma III, Starościńskie Skały nazywano Skałami Marianny (Marianenfels), na cześć jego żony, księżnej Marianny.

Było to jej szczególnie ulubione miejsce. Przed wejściem na szczyt postawiona została figura żeliwnego lwa o wadze 40 centaurów (300 kilogramów), a pod spodem na skale umieszczono napis z miedzianych liter: „Marianenfels”. Posąg lwa stał tam jeszcze do lat 70., kiedy to zniknął bez śladu. Okazało się, że w tajemniczych okolicznościach został przewieziony nad Jezioro Żłotnickie. Przywrócenie lwa na pierwotne miejsce i koszty jego powtórnego montażu nie stanowią żadnego



Żeliwny Lew. Fot. Iwona Niedźwiedzińska

problemu. Obecnym właścicielem rzeźby jest Tauron, który przekaze Iwa Związkowi Gmin Karkonoskich lub Nadleśnictwu Śnieżka w Kowarach – właścicielowi terenu.

W grupie skalnej Starościńskich Skał znajdują się trzy całkowicie nieznanne miejsca, których nie opisują żadne przewodniki turystyczne o Rudawach Janowickich, a są warte obejrzenia. Dojście tam jest bardzo proste. Schodzimy niebieskim szlakiem z Lwiej Góry w kierunku Strużnicy, nie skręcamy ostro w prawo w dół, lecz idziemy prosto nieoznakowaną drogą leśną. Po około 100 metrach dochodzimy do „Piekliska” (kamieniołomu pod siodłem pomiędzy Świnią Górą i Starościńskimi Skałami). Idąc dalej w dół możemy dotrzeć do wsi Strużnica. Zejście to nosi nazwę „Rynna Strużnicka” i jest bardzo dobrze znane rowerzystom i uczestnikom maratonów MTB w Rudawach Janowickich, ze względu na bardzo stromy i techniczny zjazd.

„**Pieklisko**” (650 m n.p.m.) to nieczynny kamieniołom (nazwa niemiecka *Ehem Schmiede* oznacza ‘wykucie’), w którym wydobywano duże bloki kamienne metodą wykucia (podobnie jak to się robi podczas kopania studni). Granit służył do budowy okolicznych zamków i kościołów. Na dnie dwóch wyrobisk znajdują się dwa piękne, malownicze jeziora: „**Żółte Jezioro**” – mniejsze, w głębokim skalnym kraterze o głębokości 15 m i „**Brunatne Jezioro**” – większe, poniżej, pod urwiskiem. Można do nich dojść drogą prowadzącą na dno kamieniołomu. Jedyna droga jezdna z Karpnik na Lwią Górę wiodła niegdyś poprzez jeziora Starościńskich Skał.

Biblioteka (600–650 m n.p.m.), której nazwę nadały osoby uprawiające sport skałkowy, to grupa skał znajdująca się przy dawnym kamieniołomie „Pieklisko”, po przeciwnej stronie „Strużnickiej Rynny”. Ten zespół skalny stanowi zamknięty owal o długości 50 metrów. Bloki skalne ustawione pod kątem 60



Brunatne Jezioro



Żółte Jezioro



Ołtarz w Bibliotece

stopni, upodobniły się do książek ułożonych na półce w bibliotece. Przypuszczalnie w tym miejscu odprawiano od roku 1654 tajne nabożeństwa protestanckie. Kiedy po wojnie trzydziestoletniej dokonano rekatolicyzacji kościoła, miejscowi protestanci zmuszeni byli odprawiać nabożeństwa po kryjomu, w okolicznych lasach, lub wędrować w tym celu do odległego Proboszczowa. Jedna ze skał w centralnym miejscu Biblioteki przypomina ołtarz.

Diabelski Kościół (stara nazwa niemiecka *Teufelskirche*) położony jest na stromym stoku Świniej Góry (751 m n.p.m.). Można go łatwo znaleźć schodząc w dół „Strużnicką Rynną”. Po przejściu tędy około 150 metrów lub idąc bezpośrednio od Biblioteki leśną drogą wzdłuż Świniej Góry, z lewej strony zobaczymy olbrzymi blok skalny o długości około 70 metrów. Na jego szczycie znajdują się trzy skałki. Najciekawsza z nich to „Kamienny Krąg” – cztery słupy skalne, nigdzie więcej niespotykane w naszych górach. Jest to bardzo piękne, ustronne miejsce. Będąc wewnątrz odczuwa się działanie dziwnej energii. Może kiedyś odbywały się tam sabaty czarownic...

Dojazd

Niezależnie od wyboru szlaku, musimy się najpierw dostać do stolicy Rudaw Janowickich, czyli Janowic Wielkich. Dojazd pociągiem relacji Wrocław–Jelenia Góra. Następnie mamy trzy możliwości dotarcia na Starościńskie Skały:

1) Z Janowic Wielkich idziemy żółtym szlakiem biegnącym Doliną Janówki aż do skrzyżowania z niebieskim szlakiem w okolicach Skalnego Mostu i Pieca. Skręcamy w prawo i niebieskim szlakiem podchodzimy do Starościńskich Skał. Czas podejścia – 1 godz. 40 min. Zejście zajmuje nam 1 godz. 20 min.

2) Z Janowic Wielkich jedziemy w kierunku Karpnik i zostawiamy auto na płatnym parkingu na Przełęczy Karpnickiej. Niebieski szlak z parkingu prowadzi do Starościńskich Skał. Czas podchodzenia – 1 godz. 15 min, schodzenia – 1 godz. 5 min.

3) Najlepszym wariantem dostania się na skały jest dojazd do wsi Strużnica (zjeżdżając z Przełęczy Karpnickiej we wsi Karpniki skręcamy w lewo), gdzie zostawiamy auto. Sporo miejsc parkingowych znajduje się obok nieczynnego tartaku. Ze Strużnicy najpierw podchodzimy żółtym szlakiem, a na rozdrożu idziemy w prawo szlakiem niebieskim, który doprowadza nas do samych skał. Czas podejścia – 1 godz. 15 min. Po zwiedzeniu grupy skalnej „Biblioteki” schodząc „Strużnicką Rynną” w dół i drogą biegnącą przez łąki, obok ambon myśliwskich i plantacji choinek, dochodzimy do tartaku w Strużnicy.

Zapraszam do odwiedzenia tej zapomnianej i malowniczej części Rudaw Janowickich.

Krzysztof Pik



Diabelski Kościół

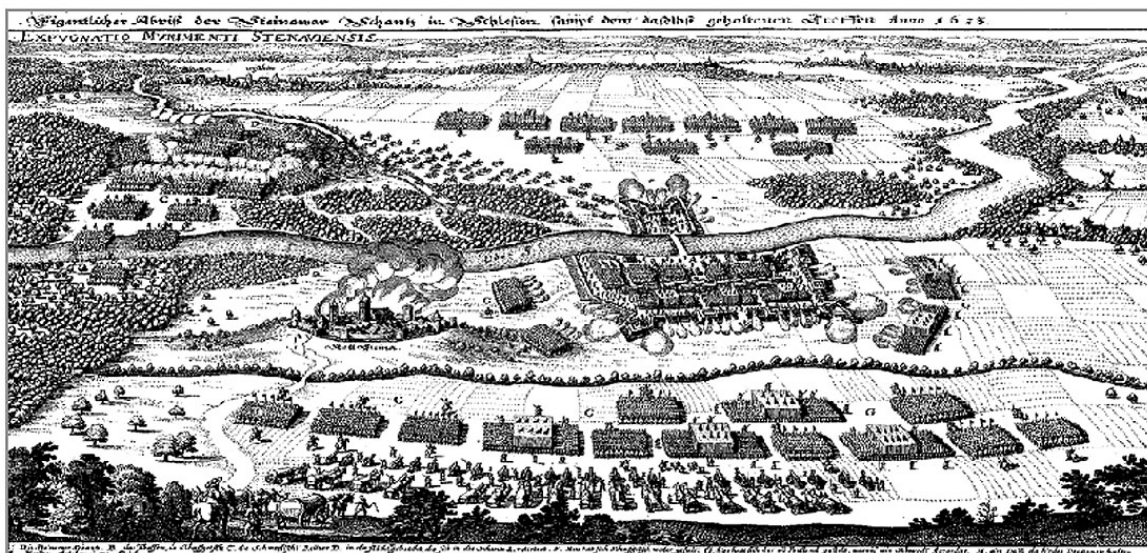


Kamienny Krąg

Dwie bitwy pod Ścinawą

W latach 30. XVII w. stoczono dwie bitwy pod Ścinawą na Dolnym Śląsku, które były częścią większego konfliktu zbrojnego – wojny trzydziestoletniej (lata 1618–1648), a dokładniej okresu szwedzkiego z lat 1631–1634. Wojna toczyła się pomiędzy cesarzami z rodu Habsburgów i wspierającymi ich katolickimi książętami Rzeszy a władcami protestanckimi i wspierającymi ich państwami: Francją, Szwecją, Holandią, Sabaudią, Danią. Podłożem, na którym się rozgrywała, były spory religijne i polityczne o hegemonię w Rzeszy. W następnych latach do konfliktu dołączyła Szwecja, realizując program utworzenia z Morza Bałtyckiego akwenu wewnętrznego, poddanego tylko jej kontroli. Także rywalizacja o prymat w regionie pomiędzy Habsburgami a Burbonami była czynnikiem znaczącym dla rozwoju sytuacji.

W roku 1632 połączone wojska saskie, szwedzkie i brandenburskie w sile 18,6 tysięcy żoł-



Widok na panoramę drugiej bitwy pod Ścinawą (za Theatri... 1639 r., s. 130)

nierzy pod dowództwem Hansa Georga von Arnima oraz pułkownika Jakoba Duvalla starły się z oddziałami cesarskimi Balthasara Marradasa liczącymi 15–20 tysięcy żołnierzy. Oddziały cesarskie rozłożyły się w Ścinawie oraz w obozie warownym, położonym na południe od miasta. W dniach od 29 sierpnia do 4 września 1632 r. stoczono o tę pozycję bitwę. 29 sierpnia alianci zajęli miasto, nie udał im się jednak atak na umocniony obóz cesarski. Oddziały sasko-szwedzkie zbudowały w jeden dzień – 30 sierpnia – w zakolu Odry, pod Dziewinem (na południe od Ścinawy) umocniony obóz polowy, po czym przystąpiły, od 1 września, do budowy mostu przez Odrę, w celu odcięcia dowozu zaopatrzenia oddziałom cesarskim. Balthasar Marradas podjął 4 września działania zbrojne chcąc zniszczyć obóz wraz z przeprawą mostową, jednakże były one nieudane. Niepowodzenie ataku na pozycję aliantów skłoniło dowódcę oddziałów cesarskich do zwinięcia obozu i wycofania się z zajmowanej pozycji, w nocy z 4 na 5 września 1632 r. Opuszczony obóz został zajęty przez siły sojuszników.

Oddziały sasko-szwedzkie umocniły zdobyty obóz wojsk cesarskich i zaadaptowały go na swoje potrzeby. Pozwalał im on na kontrolę najbliższej okolicy, miasta Ścinawy oraz przeprawy przez Odrę. 11 października 1633 r. oddziały cesarskie, w liczbie 30 tysięcy żołnierzy, pod dowództwem Albrechta von Wallensteina zaatakowały sojuszników w ich obozie warownym, którego załoga liczyła 5 tysięcy żołnierzy. Wojska cesarskie obóz zdobyły, wraz z całym jego wyposażeniem, do niewoli trafiło ponad 5 tysięcy ludzi, w tym dowódcy: hrabia von Thurn (oddziały saskie) oraz pułkownik Jakob Duvall (siły szwedzkie). Szeregowych żołnierzy siłą wcielono do armii cesarskiej, oficerom pozostawiono wybór – mogli wstąpić na służbę cesarza Ferdynanda II Habsburga lub wykupić się z niewoli i odejść. Oba starcia były częścią większych kampanii, bitwa z 1632 roku stanowiła zwieńczenie działań Sasów, którzy maszerując przez Bolesławiec, Żagań, Szprotawę, Koźuchów połączyli się pod Głogowem z korpusem brandenbursko-szwedzkim nadciągającym z Brandenburgii. Siły sprzymierzone zdobyły twierdzę w Głogowie i wyparły oddziały cesarskie za Odrę. Ścinawa, ze swoim średniowiecznym murem miejskim oraz zewnętrznym wałem ziemnym usypanym u jego podstawy, bez nowoczesnych fortyfikacji bastionowych, czy też bastionowych, była łatwym celem dla sił sasko-szwedzko-brandenburskich. Wojska te mogły się tutaj przeprawić na drugi brzeg rzeki, zakładając przyczółek i czyniąc z niego swoją bazę wypadową na pozostałą część Dolnego Śląska. Będąc jednocześnie w posiadaniu Głogowa i Ścinawy zyskiwały częściową kontrolę nad szlakiem żeglugowym na Odrze, którym można było

transportować wojsko, sprzęt i zaopatrzenie. Wydarzenia z 1633 roku były następstwem zdarzeń z poprzedniego roku. Albrecht von Wallenstein musiał zlikwidować przyczółek przeciwnika, gdyż jego funkcjonowanie zagrażało cesarskim liniom komunikacyjnym i aprowizacyjnym. Jednocześnie odzyskiwał kontrolę nad rzeką, która stanowiła dogodną arterię komunikacyjną dla transportu zaopatrzenia wojskowego – żywności, artylerii oraz amunicji. Usunięcie wrogich oddziałów oraz sprawowanie kontroli nad rzeką było podstawą do odzyskania w przyszłości, przez siły cesarskie, twierdzy głogowskiej, poprzez oblężenie lub działania dyplomatyczne.

Bibliografia:

Maroń J., *Militarne aspekty wojny trzydziestoletniej na Śląsku*, Wrocław: Uniwersytet Wrocławski, 2000.

Podruczny G., *Militarna rola rzeki Odry w okresie nowożytnym, ze szczególnym uwzględnieniem odcinka między Głogowem a Wrocławiem*, (w:) Bok A., Tracichleb J. (red.), *Kronika Łęgów Odrzańskich nr 3. Odra – warunki naturalne rzeki i jej kształtowanie przez człowieka*, Prochowice, Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Kraina Łęgów Odrzańskich” Towarzystwo Ziemi Głogowskiej, 2015, s. 33-46.

Śledzik-Kamiński R., *Umocnienia polowe jako znak kulturowy*, (w:) „Śląskie Sprawozdania Archeologiczne”, t. 53, 2011, s. 167-176.

Rafał Śledzik-Kamiński

Wystawa na Dworcu Głównym PKP we Wrocławiu

Większość obecnych i nieistniejących schronisk w Karkonoszach i Górach Izerskich była kiedyś budami pasterskimi. Karkonoskie i izerskie budy pasterskie zaczęły pełnić funkcję miejsc odpoczynku dla wędrowców od XVII wieku. Górskie obiekty tylko dla turystów pojawiły się w latach 30. XIX stulecia.

Od połowy kwietnia br. na Dworcu Głównym PKP we Wrocławiu można oglądać wystawę „Schroniska turystyczne Karkonoszy i Gór Izerskich w Polsce i Czechach”. Jest to wystawa „wędrująca”: wcześniej prezentowano ją m.in. w Archiwum Państwowym we Wrocławiu Oddziale w Jeleniej Górze, w Muzeum Miejskim „Dom Gerharta Hauptmanna” oraz w Muzeum Sportu i Turystyki (MSiT) w Karpaczu.

Ekspozycja składa się z ilustrowanych tablic, na których przedstawiono dzieje wybranych polskich i czeskich schronisk turystycznych. Tekst uzupełniono replikami starych zdjęć, kartek pocztowych, kart menu czy odbić stempli schronisk.

Wystawę od strony polskiej zorganizowało Archiwum Państwowe we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze. Ze strony czeskiej współpracowały z nim Státní oblastní archiv v Litoměřicích i jego trzy oddziały (w Jabloncu nad Nissou, Libercu i Semilach) oraz Státní okresní archiv Trutnov.

Gdy przypadkiem 26.04. 2017 r. zobaczyłem na Dworcu Głównym PKP we Wrocławiu wystawę „Schroniska turystyczne Karkonoszy i Gór Izerskich w Polsce i Czechach”, bardzo się ucieszyłem z trzech powodów.

Pierwszy był prozaiczny. O ekspozycji dowiedziałem się wcześniej, ale niestety, nie udało mi się jej zobaczyć. Przy tej okazji, bardzo chciałbym podziękować panu Zbigniewowi Kulikowi, Dyrektorowi Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, za zaproszenie.

Drugim powodem do radości dla mnie, czyli osoby, która często się przemieszcza między Wrocławiem a Karkonoszami, było miejsce wystawy. Jej prezentacja na Dworcu Głównym PKP we Wrocławiu to strzał w dziesiątkę. Czekając na pociąg,



fot. Zbigniew Piepiora



czy to przy okazji przesiadki, czy też przezornego, wcześniejszego przybycia na dworzec, można się zapoznać ze schroniskami regionu Karkonoszy i Gór Izerskich (obecnie jeden region turystyczny) i ich ciekawą historią. Dzięki temu można lepiej przygotować się do wycieczki albo pomyśleć o takowej w przyszłości, podróżując teraz w inną stronę.

Po trzecie, świetnym pomysłem było pokazanie wystawy w czasie długiego weekendu majowego. Mimo złych warunków atmosferycznych, wiele osób podróżowało i mogło ją zobaczyć.

Niestety, wystawa „Schroniska turystyczne Karkonoszy i Gór Izerskich

w Polsce i Czechach” posiada także słabe strony. Jej pierwszym mankamentem jest to, że przedstawiono na niej... Hotel Ještěd. Co prawda, widzi się go np. idąc czerwonym szlakiem z Polany Jakuszyckiej do Stacji Turystycznej „Orle”, ale Hotel Ještěd nie znajduje się ani w Karkonoszach, ani w Górach Izerskich. Położony jest w innym mezoregionie Sudetów Zachodnich, który nazywa się Ještědsko-kozákovský hřbet.

Druga słaba strona polega na tym, że na ekspozycję wybrano tylko niektóre obiekty. Wspomnianą Stację Turystyczną „Orle” zapewne pominięto, bo to „stacja”, a jej budynki (w tym „Leśniczówka” – prawdopodobnie dawne miejsce administracji huty szkła „Carlsthal”) to nie „schronisko”. Dziwi mnie brak „Chatki Górzystów” (dawna „Nowa Szkoła” w Groß Iser) czy nieistniejącego schroniska „Forstbaude” w Budnikach, także będących pozostałościami osad, których już nie ma.

W mojej opinii, można było zamiast Hotelu Ještěd pokazać któryś z wymienionych przeze mnie obiektów. Innym rozwiązaniem mogłaby być zmiana tytułu wystawy na „Wybrane schroniska turystyczne w Sudetach Zachodnich”, ale to pewnie już nie brzmi tak marketingowo.

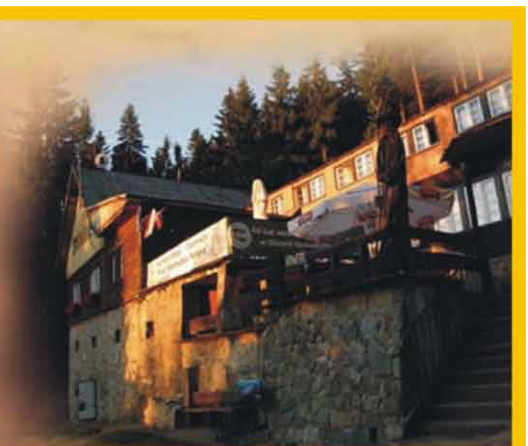
Na tablicach prezentowanych na Dworcu Głównym PKP we Wrocławiu niestety nie znalazłem informacji, do kiedy można oglądać wystawę. Jeśli ktoś nie zdąży jej obejrzeć, warto zapoznać się z katalogiem towarzyszącym ekspozycji, o którym informacje umieściłem poniżej.

Mgr. Pavel Jakubec, Bc. Luděk Jirásek, Mgr. Jan Kafka, Mgr. Jan Kašpar, mgr Ivo Ľaborewicz, PhDr. Ivo Navrátil, Bc. Markéta Pavlisová, Mgr. Jana Pažoutová, Mgr. Roman Reil, Mgr. Eva Tomková, PhDr. Pavel Zahradník, *Schroniska turystyczne Karkonoszy i Gór Izerskich w Polsce oraz Czechach*, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Archiwum Państwowe we Wrocławiu, Skład i druk: Ad Rem, Jelenia Góra 2015,

<http://www.ap.wroc.pl/publikacje/schroniska-turystyczne-karkonoszy-i-gor-izerskich>, data dostępu: 14.05.2017 r.

Zbigniew Piepiora

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Wrocławski pałac Kopciuszka

W chwili śmierci Karola Goduli jego majątek wart był 2 mln talarów. Składało się nań: 70 tys. mórg pola, 3,5 tys. mórg lasu, 19 kopalń galmanu, 40 kopalń węgla kamiennego, 3 huty cynku, udziały w hucie cynku „Karol”.

Do tak wielkiego majątku Karol Godula doszedł w ciągu 25 lat dzięki swoim zdolnościom i przedsiębiorczości. Jako młodziutki strażnik lasów należących do hrabiego Ballenstrema, po okrutnych torturach został okaleczony przez kłusowników. W ramach rekompensaty hrabia dał mu udziały w budowanej hucie cynku „Karol”. Karol był człowiekiem bardzo zdolnym i wkrótce stał się zarządcą majątku hrabiego, a swoje dochody rozsądnie inwestował w rozwijający się przemysł.

Mimo wielkiego bogactwa żył w Szombierkach jak odludek. Jego najbliższymi była para służących, których córeczka Joasia nie bała się widoku kalekiego Goduli i okazywała mu dziecięcą ufność i serdeczność. Jakie było zdumienie wszystkich, gdy umierając w 1848 r. w wieku 67 lat Karol Godula cały swój majątek zapisał 6-letniej Joannie, pozostawiając swoim siostrzeńcom jedynie niewielkie legaty. Wykonująca testament Goduli rada opiekuńcza, która miała zaopiekować się dziedziczką wielkiego majątku do czasu jej dorosłości, w obawie o życie dziewczynki, umieściła ją we wrocławskiej szkole z internatem, prowadzonej przy pl. Nankiera przez siostry urszulanki. W 1858 r. rada uzyskała u cesarza nobilitację dla swej podopiecznej. Odtąd Joasia Grycik (Gryzik) stała się Joanną von Schomberg-Godulla. W nadanym jej przez cesarza herbie umieszczono skrzyżowane górnicze narzędzia: młot i pyrlík na błękitno-złotym (błękitno-żółtym) tle, czyli barwach Śląska.

W tym samym roku 16-letnia Joanna poślubiła Hansa Ulricha hrabiego von Schaffgotsch z Kopic – dziedzica rodu znanego na Śląsku od XIV wieku, potomka w 7. pokoleniu Hansa Ulricha Schaffgotscha i piastowskiej księżniczki – Barbary Agnieszki. Joanna – mimo młodego wieku – przewyższała swojego męża zdobytych u urszulanek wykształceniem i osiągnąwszy po zamążpójściu pełnię praw, samodzielnie zarządzała swoim wielkim majątkiem. Sprowadzała z Anglii inżynierów, którzy rozwijali przemysł i wdrażali nowe technologie, fundowała wiele kościołów, osiedli robotniczych, szpitali i szkół dla swoich pracowników. Budowle te i pamięć o dobrej hrabinie przetrwały do naszych czasów: w 2007 r. imię hrabiny nadano Szkole Podstawowej nr 3 w Rudzie Śląskiej (mieście, w którym hrabina zmarła w 1910 r.).

Hrabiostwo stale mieszkali we wspaniałym zamku w Kopicach na Opolszczyźnie, który – zdewastowany po wojnie – do dziś pozostaje w ruinie (zbezczeszczono także groby Karola Goduli i Schaffgotschów).

W 1891 r. hrabia Schaffgotsch kupił we Wrocławiu działkę, pięknie położoną w pobliżu Promenady Starej. Powstała tu okazała rezydencja miejska. Schaffgotschowicze zatrzymywali się w niej podczas pobytu we Wrocławiu. Pałac zaprojektowany przez Karola Heidenreicha w stylu neorenesansowym wznosi się przy ul. Kościuszki. Jego boczne skrzydła okalają parady podjazd, prowadzący do głównego wejścia z portykiem ozdobionym głowami rycerzy z różnych epok i rodowymi herbami. Imponująca jest malownicza fasada licowana czerwoną cegłą i urozmaicona piaskowcowymi detalami oraz stojąca na dachu figura rycerza z prętem masztu. Zachowała się także sala balowa, zdobiona bogatą figuralną i ornamentalną dekoracją stiukową, zwana salą kryształową ze względu na dekorujące ją lustra. Pałac otaczał park w stylu angielskim, który sięgał aż do fosy – jego pozostałością są m.in. dorodne platany przy Podwalu.

Po śmierci hrabiego pałac stał się własnością gminy ewangelickiej przy kościele św. Marii Magdaleny, a od 1956 r. (po powojennej odbudowie) – siedzibą Rady Okręgowej ZSP, gdzie znajdował się znany pod nazwą „Pałacyk” klub studencki. Pożar w 1972 r. strawił wnętrze pałacu, który przywrócono do użytku w 1975 r.

Obecnie pałac podzielony jest między wielu użytkowników i ulega dalszej degradacji. Pozostaje jednak świadectwem miłości hrabiego Hansa Ulricha do żony Joanny (za pieniądze swej żony postawił jej wspaniały pałac).



Anna Oryńska

„Pałacyk”. Fot. dolny-slask.org.pl

Dęby z imieniem polskiego Papieża

Okazją do niezwykłego spotkania 28 kwietnia 2004 roku w Watykanie papieża Jana Pawła II z 300-osobową delegacją polskich leśników, były obchody 80. rocznicy utworzenia 28 czerwca 1924 roku wielkiego przedsiębiorstwa – Lasów Państwowych. W czasie tego spotkania Papież powiedział: *Cieszę się bardzo z waszej obecności. Wiele razy miałem okazję spotykać się z waszym środowiskiem. Niech wasza praca pomoże uratować piękno polskich lasów dla dobra naszej Ojczyzny i jej mieszkańców.*

Podczas prywatnej audyencji Papież pobłogosławił 2,5 kilograma żołądzy zebranych w 2003 roku z dębu „Chrobry”, uznanego za najstarsze (około 760 lat) drzewo tego gatunku w Polsce. Potężny dąb szypułkowy (ma pień o obwodzie 10 metrów i koronę rozłożystych konarów sięgającą 30 metrów wysokości) jest pomnikiem przyrody od marca 1967 roku. Rośnie w Piotrowicach, w Nadleśnictwie Szprotawa w Borach Dolnośląskich, czyli jednej z naszych 8 rozległych krain przyrodniczo-leśnych (obejmujących 58 dzielnic przyrodniczo-leśnych). O „Chrobrym” mówią legendy. Jedną z nich to opowieść o posadzeniu tego drzewa przez Bolesława Chrobrego i cesarza niemieckiego Ottona III w czasie odpoczynku w Rudach podczas pielgrzymki do grobu z relikwiami św. Wojciecha w Gnieźnie.

Potężne dęby od wieków, jeszcze w czasach przedchrześcijańskich, były czczone jako drzewa święte. Są też do dziś symbolem trwałości i długowieczności. Poświęcenie przez Papieża owoców śląskiego dębu miało niezwykłe znaczenie symboliczne i było wyrazem powiązania tradycji ze współczesnością. Nasiona wielowiekowego dębu otrzymały świadectwo pochodzenia.

Wszystkie sadzonki, które urosły z poświęconych żołądzy nazywane są dębami papieskimi. Sadzi się je podczas wielu uroczystości upamiętniających Papieża oraz z okazji świąt lasu czy ochrony środowiska. Po jednej sadzonce dębu papieskiego, spośród pierwszych wyhodowanych, dostało każde z 438 nadleśnictw w Polsce, a po trzy – każda z 17 regionalnych dyrekcji Lasów Państwowych.

Ogółem wyhodowano ponad 500 sadzonek w gospodarstwie szkółkarskim w Nędzy, w Nadleśnictwie Rudy Raciborskie (jednym z najnowocześniejszych tego rodzaju w Europie). Dla zainteresowanych – szkółka, jako jedna z największych tego rodzaju nowoczesna hodowla sadzonek drzew leśnych (kilka milionów rocznie), jest dostępna do zwiedzania.

Rudy Raciborskie znane są z zabytkowego pocysterskiego zespołu klasztorno-pałacowego z 1285 r. oraz z powodu wielkiego pożaru, który 26 sierpnia 1992 roku zniszczył około 10 tys. hektarów lasu. Do odnowienia lasu na terenie rozległego pożarzyska użyto sadzonek ze wspomnianej hodowli. Obecnie jest to coraz bardziej dorodny las mieszany. W parku przy zespole klasztorno-pałacowym zasadzono jedno z pierwszych drzewek.

Obecnie polskie lasy zajmują ponad 9 milionów hektarów, co stanowi ponad 29 proc. powierzchni kraju. Nasze lasy gospodarcze pozostają pod zarządem przedsiębiorstwa Państwowe Gospodarstwo Leśne „Lasy Państwowe”. Ich zasoby kryją wiele tysięcy cennych gatunków roślin i okazałych pomników przyrody. Są ustawowo uznane za dobro narodowe, mają ogromne znaczenie gospodarcze, decydują o charakterze i zachowaniu walorów przyrodniczych oraz bogactwie krajobrazów naszego kraju. Mają też ogromne znaczenie dla społeczeństwa, jako teren powszechnie dostępny dla turystów i krajoznawców o każdej porze roku.



(z wyjątkiem ograniczeń w parkach narodowych i rezerwatach). W kompleksach leśnych dla wędrowców pieszych, narciarzy, rowerzystów, jeźdźców konnych wyznakowano około 3,5 tysiąca km szlaków oraz około 150 leśnych ścieżek edukacyjnych. Warto wspomnieć, że pierwsza zbiorowa (z udziałem 387 osób) wycieczka przyrodnicza Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego pod przewodnictwem Aleksandra Janowskiego i Kazimierza Kulwiecia odbyła się 2 czerwca 1907 roku do lasów Puszczy Kampinoskiej.

W latach 2005–2013 miało miejsce wiele uroczystości oraz imprez krajoznawczych i turystycznych ku pamięci Jana Pawła II. Godność Członka Honorowego PTTK nadano Papieżowi uchwałą X Zjazdu PTTK 16 listopada 1981 roku. Uroczyste wręczenie Złotej Odznaki Honorowej PTTK miało miejsce w Krakowie 23 czerwca 1983 roku, podczas pielgrzymki Jana Pawła II do kraju, przed wycieczką dostojnego gościa do Doliny Chochołowskiej i Jarząbkiej w Tatrach.

Popularyzację dębów papieskich wspomaga jedna z licznych regionalnych i okazjonalnych odznak krajoznawczych, której regulamin wyróżnia obiekty przyrodnicze. Pielgrzymia Odznaka Krajoznawcza „Śladami Jana Pawła II” ustanowiona została w 2005 roku, z inicjatywy Młodzieżowego Koła PTTK nr 24, przez Oddział Wolski PTTK im. Józefa Sowińskiego w Warszawie. Jest więc pokrewna odznace „Turysta Przyrodnik”. Za poznanie dębu papieskiego, w istocie jako pomnika pamięci, regulaminowa punktacja tej odznaki przewiduje zaliczenie od 2 do 10 punktów. Natomiast według regulaminu POK „Śladami Jana Pawła II” odwiedzenie dębu papieskiego nagradzane jest 2–30 punktami, zaliczanymi do każdego stopnia i rodzaju tej odznaki. Zdobywanie POK dostępne jest każdemu krajoznawcy od 7. roku życia. Są to odznaki: popularna, mała (brązowa, srebrna, złota), duża (srebrna, złota), Wielka, Za Wytrwałość oraz Honorowa. Punkty zalicza się za odwiedzenie miejscowości związanych z życiem Karola Wojtyły i Papieża, poznanie pomników, szkół jego imienia.

Każdy dąb papieski ma swoją metrykę, potwierdzającą pochodzenie oraz numer identyfikacyjny. Oprócz wspomnianych instytucji leśnych sadzonki takie otrzymało wiele samorządów w miejscowościach, gdzie żył, pracował lub które odwiedzał Karol Wojtyła (jako ksiądz, a potem biskup), a także sanktuariów, nowoczesnych kościołów, cmentarzy, a nawet obiektów kultu innych wyznań oraz miejsc znanych z pielgrzymek papieskich w innych krajach. Cztery załączniki do regulaminu POK wymieniają: pomniki Papieża (ponad 550 w Polsce oraz ponad 150 w innych krajach); miejscowości związane z Jego życiem i działalnością; lokalizacje szkół Jego imienia oraz miejsca, gdzie zostały zasadzone papieskie dęby. Od ustanowienia POK minęło sporo czasu, zatem należy liczyć się z powiększeniem liczby obiektów wskazanych do zwiedzania.

Informacje, wizerunki wszystkich stopni, rodzajów odznak i szczegóły organizacyjne dotyczące POK można znaleźć na stronie internetowej Pielgrzymiej Odznaki Krajoznawczej „Śladami Jana Pawła II”. Pomyśłodawcami ustanowienia tej odznaki są członkowie byłej 108 Grunwaldzkiej Drużyny Harcerzy im. Prof. Romana Kobendzy w Warszawie, zaś regulamin oraz wykaz obiektów i miejsc zalecanych do zwiedzania opracował Roman Henryk Orlicz – Instruktor Krajoznawstwa Polski i Przewodnik Turystyki Pieszej.



Dąb Jana Pawła II w Licheniu.
Fot. <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=4444675>

Tomasz Kowalik



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Trzy cuda nad Motławą

W ciągu kilku ostatnich lat krajobraz Gdańska wzbogacił się o niezwykle budowle, od razu nazwane wybitnymi dziełami architektury. Są to trzy gmachy, jeszcze mało znane wśród odwiedzających polską stolicę morską, ale budzące podziw rodzimych specjalistów, a także poza granicami naszego kraju (np. Daniela Libeskinda, wybitnego polsko-amerykańskiego architekta urodzonego w Łodzi, twórcy wielu budowli modernistycznych, m.in. Muzeów Żydowskich w Berlinie i San Francisco).

Te godne poznania obiekty, które śmiało można nazwać wielkimi krokami w XXI stulecie – Gdański Teatr Szekspirowski, Europejskie Centrum Solidarności i Muzeum II Wojny Światowej – zapewne przez wiele lat będą zajmować ważne miejsce nie tylko w krajobrazie miasta nad Motławą, ale też i w historii polskiej i światowej architektury. Stały się one symbolami nowoczesności, ważnymi dla współczesnego krajoznawstwa.

Podziwiane z zewnątrz i od wewnątrz, pełnić będą rolę społecznie użyteczną, jak niewiele im podobnych. Kryją w sobie instytucje służące w sposób nadzwyczajny nie tylko naszemu społeczeństwu, ale także obcokrajowcom zwiedzającym Gdańsk.

Przy tej okazji warto przypomnieć „7 cudów świata”. To znane od starożytności niezwykle budowle, rzeźby, ogrody, piramidy – godne powszechnego podziwu, dowodzące rozkwitu cywilizacji dzieła umysłów i rąk ludzkich. Jeśli w historii osiągnięć ludzkości są wspomniane „cuda świata”, to i współczesny Gdańsk jest „nie od macochy” i ma swoje – trzy – cuda. Wśród wspaniałych zabytków o długiej historii w krajobrazie miasta pojawiły się budowle o awangardowym kształcie, pełniące nowoczesną rolę. Wplatają się one w strukturę portowego miasta o wielowiekowej tradycji, będąc nowymi elementami jego krajoznawczej tożsamości i obiektami trudnymi do pominięcia podczas wędrówek po gdańskich placach, ulicach i zaułkach.

Cud pierwszy – teatr z wiekowymi tradycjami

To dzieło współczesnego włoskiego architekta Renato Rizzi, nawiązujące do XVII-wiecznego, pierwszego na ziemiach polskich teatru otwartego dla publiczności, a nie – ukrytego w komnatach pałacowych lub dworskich, jak np. Królewski Teatr Stanisławowski z XVIII wieku w warszawskich Łazienkach, czy Teatr Zamkowy w Łańcucie.

Nowoczesny Gdański Teatr Szekspirowski w surowej ceglanej bryle kryje niezwyklej urody wnętrze, a na dodatek może stać się teatrem na wolnym powietrzu, dzięki odkrywaniemu dachowi, który rozkłada się jak stronicie książki. Nowa budowla stała się obiektem nie do pominięcia na szlaku krajoznawczej wędrówki po współczesnym Gdańsku dla licznych turystów, którzy zazwyczaj zachwycają się perłami z jego świetnej przeszłości: Dworem Artusa przy Długim Targu, o rodowodzie sięgającym XIII stulecia, gotycką Zieloną Bramą z XIV wieku czy Bramą Stary Żuraw nad Motławą z XV wieku.

Wypada dodać, że budowie gdańskiego teatru patronował wybitny reżyser filmowy i teatralny – Andrzej Wajda.

Cud drugi – Europejskie Centrum Solidarności

Prawie 20 lat dojrzewał do realizacji pomysł stworzenia muzeum „Solidarności”. Jego projektantami byli architekci: Wojciech Targowski, Piotr Mazur, Antoni Taraszkiewicz i Paweł Czarzasty. Warto wspomnieć, że do konkursu na projekt muzeum wystartowało 58 zespołów z wielu krajów.

Jego budowa zaczęła się wiosną 2011 roku, a otwarcie „pomnika zwycięstwa rewolucji pokojowej” miało miejsce w 2014 roku. Po inauguracji okazało się, że „zagroża” mu wielka



Europejskie Centrum Solidarności

popularność. W Europejskim Centrum Solidarności odbywają się wystawy dokumentalne, spotkania, konferencje, przedstawienia teatralne, pokazy filmowe. Jest ono ponadto siedzibą organizacji obywatelskich oraz dostępnym dla zwiedzających, czynnym przez cały rok, rekreacyjnym ogrodem zimowym. Z tarasu budynku muzeum roztacza się rozległy widok na panoramę Starego Miasta i tereny po Stoczni Gdańskiej, z uznanymi za zabytki potężnymi dźwigami.

Bryła budowli kojarzy się z kadłubami statków, nawiązując do historii miejsca, w którym ją zbudowano, a także do stoczniowych tradycji. Odnosi się wrażenie, jakby za chwilę miało nastąpić wodowanie kadłuba dużego statku z pochylni. Niemal zaraz po otwarciu Centrum nazywano „Rdzawiakiem”, z powodu barwy i formy elewacji przypominającej zardzewiały przed pomalowaniem, metalowy kadłub statku budowanego w doku stoczniowym.

Cud trzeci – Muzeum II Wojny Światowej

Nietrudno skojarzyć tę nowoczesną budowlę z wypełniającymi jej wnętrza oryginalnymi eksponatami, w znacznej części darowanymi przez uczestników tamtej, nie tylko narodowej, tragedii. Przywodzi na pamięć pierwsze godziny i dni września 1939 roku – obronę składnicy na Westerplatte i budynku gdańskiej Poczty Polskiej, bohaterstwo pułkownika Stanisława Dąbka, dowódcy Morskiej Brygady Obrony Narodowej i Lądowej Obrony Wybrzeża, który poległ na Kępie Oksywskiej (gdzie znajdowała się główna baza polskiej floty wojennej).

Międzynarodowy konkurs na projekt tego muzeum wygrali polscy twórcy z Gdyni, skupieni w Studiu Architektonicznym „Kwadrat” pod kierunkiem Jacka Droszcza i Bazylego Domsty. Główną nagrodą (oprócz pieniędzy) była realizacja bardzo śmiałego projektu, w formie przeszklonej pochylonej wieży jako części nadziemnej i sześciokondygnacyjnej części podziemnej, zagłębionej na 15 metrów w podmokłym gruncie i chronionej tzw. wanną z betonu. We wnętrzu muzeum, na 5 tysiącach metrów kwadratowych powierzchni znajduje się wielka kolekcja ponad 2 tysięcy eksponatów i dokumentów (m.in. fotografii), obrazująca jedną z największych współczesnych tragedii ludzkości – totalną wojnę rozpoczętą agresją na Polskę. Można obejrzeć tam np. czołgi – amerykański Schermann i radziecki T-34 – oraz unikatową część ekspozycji (przeznaczoną szczególnie dla młodzieży i dzieci poniżej 12 roku życia). Są to zrekonstruowane trzy pokoje z mieszkań warszawskiej rodziny, każdy z innego okresu niszczycielskiej wojny.

Niestety, względy zaściankowej polityki wywołały żenujący spór o istotę tej wystawy i przesłania kulturowego całego muzeum. Jego celem – ostatecznie osiągniętym – było, niestety, połączenie Muzeum II Wojny Światowej z Muzeum Westerplatte, czyli zaspokojenie wybujałych ambicji.

Ale pamięć o II wojnie światowej jest niepodzielna



Muzeum II Wojny Światowej



Tomasz Kowalik



**Polub nas
na Facebooku!**

Sabała pieniński

Jo jak ten ptak ino na powietrzu. W klatce zginie – mawiał często Józef Madeja, z racji swojego wyglądu i barwnego gwarzenia zwany powszechnie pienińskim Sabałą. W 1894 roku został zatwierdzony przez Towarzystwo Tatrzańskie Oddział w Szczawnicy jako jeden z pierwszych czterech przewodników pienińskich.

Gdy z początkiem XX wieku pojawili się w Pieninach pierwsi znakarze wytyczający szlaki turystyczne, Józef Madeja znalazł się wśród nich. Historia jednym tchem wymienia jego nazwisko obok Stanisława Drohojowskiego – właściciela Czorsztyna i Zygmunta Tałasiewicza – sędziego sądu rejonowego w Krościenku nad Dunajcem. Pierwszym wymalowanym przez nich na żółto szlakiem w 1906 roku był odwieczny przechód ze Sromowiec Niżnych przez Wąwóz Szopczański i Przełęcz Szopkę do Krościenka.

Józef Madeja urodził się w Szczawnicy 3 marca 1877 r., miłował Pieniny, ale nie tylko, bo Tatry także. Co roku wodził setki turystów na Trzy Korony, chodząc swoimi ścieżkami, a wybranych gości prowadził do zakątków jemu tylko znanych. Był tak wolny, że jak odzywała się w nim natura, rzucał pracę w polu, ciskał kosę w kąt i szedł w góry. W uroczyskach pienińskich się zatracił. Zafascynowały go Pieniny, a on czarował gawędami goszczących w Szczawnicy i Krościenku kuracjuszy. Strzegł tradycji, zwyczajów, o starym „zwyku” mówił do znudzenia i miał rację, już wówczas widział jak przemija.

Pod koniec swojego barwnego życia mawiał spoglądając na Pieniny: *Chciałbym umrzeć tutaj na Trzech Koronach, patrzeć na Tatry i tak zasnąć na wieczny sen*. Zmarł w Szczawnicy 17 lipca 1945 r. Miały Tatry Jana Krzeptowskiego-Sabałę, miały i Pieniny swojego!

Po jego śmierci Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Szczawnicy uczciło jego pamięć, a wykonawcą uchwały był Oddział Pieniński Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Uroczystości odbyły się podczas Walnego Zgromadzenia Oddziału w dniu 8 kwietnia 1956 roku. Z półgodzinnym referatem wystąpił Michał Słowik-Dzwon, a dr Artur Karol Werner wręczył kierownikowi schroniska „Orlica” Czesławowi Winiarskiemu dwie fotografie – powiększone i oprawione w ramki regionalne, inkrustowane słomą, wykonane przez Michała Słowika-Dzwona. Zawieszone zostały na udekorowanej ścianie.

Dr Werner przeczytał uchwałę Gromadzkiej Rady Narodowej „o nadaniu schronisku imienia Madeji Józefa”, na co też trzeba zwrócić uwagę, bo z dzisiejszego punktu widzenia była kuriozalna, ale wówczas kto zwracał na to uwagę? Uchwałę podjęli radni gromadscy, nadając imię obiektowi niebędącemu w ich gestii, a jej wykonawcą byli działacze miejscowego Oddziału PTTK, na którego terenie działania schronisko się znajdowało. To były ciekawe czasy!

W dalszej części uroczystości chór szkoły zawodowej pod dyрекcją Eugeniusza Łaciaka z Krościenka odśpiewał siedem różnych pieśni góralskich. Chórzyści wystąpili w pięknych strojach, co spotkało się z dużym uznaniem zgromadzonych (tak jakby w latach 50. minionego wieku to było rzadkością...).

Uroczystości te odnotowane zostały w sprawozdaniu Walnego Zgromadzenia Oddziału Pienińskiego PTTK z dnia 8 kwietnia 1956 roku, podpisanego przez przewodniczącego Jacentego Majerczaka i sekretarza Irenę Weiman.



Ryszard M. Remiszewski

Puławy – Kazimierz – Nałęczów

Pomiędzy Puławami, Janowcem, Kazimierzem Dolnym a Nałęczowem znajduje się najbardziej interesujący region turystyczny Polski. Charakterystyczną cechą jego krajobrazu są malowniczo połowane, łagodne wzgórza i głębokie wąwozy porośnięte bujną roślinnością.

Znane zagłębienie turystyczne to tzw. „trójkąt turystyczny”: Puławy – Kazimierz – Nałęczów. Całość położona jest w przebogatym krajobrazie doliny Bystrej, chronionej jako Kazimierski Park Krajobrazowy.

Puławy, nazywane od dwóch stuleci „polskimi Ate-nami”, położone na prawym brzegu Wisły, ok. 140 m n.p.m., kojarzone są z Zakładami Azotowymi „Puławy”, na terenie których znajduje się wieża widokowa. Miasto może poszczycić się okazałą rezydencją magnacką, zespołem pałacowo-parkowym zbudowanym w XVII w. (pierwotnie w stylu barokowym, obecnie – klasycystyczny), a rozbudowanym dla księcia Adama Czartoryskiego i jego żony Izabeli.

„Przeszłość – Przyszłości”. To przesłanie twórców pierwszego muzeum na Ziemiach Polskich. Zabytki świadczące o złotym wieku Puław – Świątynia Sybilli, Dom Gotycki, Pałac Marynki, Domek Grecki, Brama Rzymska, Schody Anielskie, Domek Żółty, Domek Chiński – usytuowane są w zabytkowym parku (ukształtowanym w XVIII w. w stylu angielskim), który do dziś zachował swój widokowy charakter, przenosząc nas do dawnych czasów. Dobrze jest poznać miasta i ich okolice, tzn. zamówić profesjonalnego przewodnika w PTTK.



Pałac w Puławach



Świątynia Sybilli w Parku Pałacowym w Puławach

Kazimierz Dolny. Meka artystów, leży przy ujściu potoku Grodarz do Wisły, w malowniczej dolinie, otoczonej wysokimi do 90 m wzgórzami. Przyciąga swym urokiem nie tylko turystów, wracają tu wielokrotnie artyści, malarze, dla których to miasto od XVIII w. jest mekką. Pod koniec czerwca corocznie odbywają się tu Ogólnopolskie Festiwale Kapel i Śpiewaków Ludowych. Kazimierz Dolny prezentuje się wyjątkowo okazale z Góry Trzech Krzyży – można ujrzeć zabytkowe kamienice w Rynku, z królującą renesansową Kamienicą Celejowską, ruiny zamku z XIV w. i Kościół Farny prezentujący

szczytowe osiągnięcie form architektury renesansu lubelskiego pierwszej połowy XVII w.

Nałęczów. Teren zasobny w wody mineralne i leczniczy mikroklimat, sprzyja tradycjom uzdrowiskowym. Leczy się tu głównie choroby układu krążenia. Najcenniejszym zabytkiem Nałęczowa jest późnobarokowy Pałac Małachowskich, wybudowany w 1772 r., w którym mieści się Muzeum Bolesława Prusa – stałego bywalca i przyjaciela Nałęczowa. Stefan Żeromski, mocno związany z tą modną miejscowością, założył tu rodzinę, wybudował pracownię zwaną Chatą Żeromskiego (obecnie muzeum). W pobliżu znajduje się mauzoleum syna Żeromskiego – Adama.

Wąwolnica. Jedna z najstarszych miejscowości woj. lubelskiego. Malowniczo położona nad rzeką Bystrą, w miejscu ujścia dużego wąwozu z południa do doliny Bystrej, nad kwiecistymi łąkami, z bogatą rzeźbą erozyjną. Ośrodek obronny, rezydencja kasztelana, od XVIII w. zamek warowny. Pierwszy kościół, pw. św. Wojciecha, wzniesiony w 1342 r.; pozostało prezbiterium, obecnie kaplica średniowieczna z XIV w. z gotycką, drewnianą rzeźbą Matki Boskiej Kębelskiej z Dzieciątkiem. Mieści się tu Sanktuarium Maryjne o ponadregionalnym znaczeniu.

Kębło. Pałacyk z XVIII w., park z ok. 700 drzewami (21 gatunków), ok. 100 m. alei grabowej, pomnikowy dąb o obwodzie 6 m. Miejsce kultu i pielgrzymek od czasu, gdy Tatarzy w 1278 r. porzucili w popłochu zrabowaną gdzieś figurkę Matki Bożej.

Drzewce. Dworek murowany z połowy XIX w. Z zespołu pałacowego pozostała malownicza aleja lip i kasztanowców oraz pomnikowa lipa o obwodzie 7,8 m.

Celejów. Pałac z połowy XVIII w., rozbudowany w XIX w. Walory klimatyczne i złoża mineralne zbliżone do nałęczowskich.



Na Rynku w Kazimierzu Dolnym



Wieś Wąwolnica jest przewidziana na centrum handlowo-usługowe dla zespołu uzdrowiskowego Nałęczów-Celejów, natomiast pobliskie miejscowości, jak Bartłomiejowice, Rąblów, Marcetki – na letniska.

*Alina Dopart
Fot. Piotr Dacko*

**Widok na Kazimierz
z wieży zamkowej**

Zielony szlak purpurowej naparstnicy

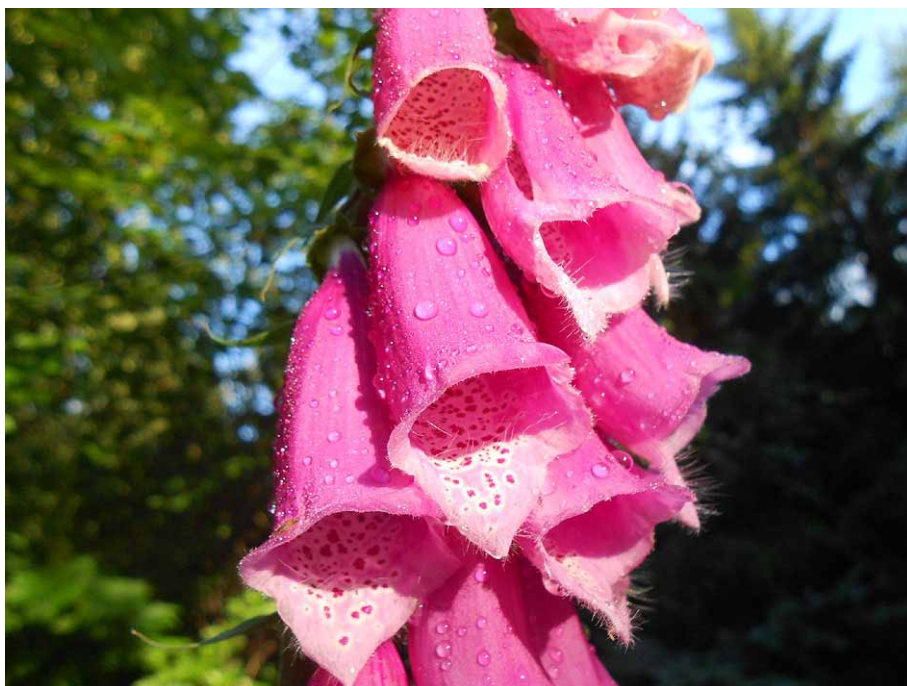
Turyście, który podczas górskiej wycieczki znakowanym szlakiem chciałby nasycić oczy pięknem naparstnicy purpurowej (*Digitalis purpurea*), warto polecić zielony szlak graniczny ze Złotego Stoku na Przełęcz Łądecką. Na części trasy nawet w letni weekend da się nie spotkać nikogo, w innym zaś jej miejscu wędrowiec może co chwilę mówić innemu turyście tradycyjne „dzień dobry”. Oprócz wspomnianej purpurowej roślinki czekają piechura także inne atrakcje. A to widok stromych ścian kamieniołomu, a to panoramy z widokowych „okienek” w gęstym lesie czy wreszcie z wieży widokowej; miejscami – rozległe polany i zarośnięta po pas ścieżka, gdzie indziej znów – szerokie dukty. Prawda, że mozaika? Zatem jak to po kolei wygląda?

Marsz najlepiej rozpocząć na złotostockim Rynku. Sporo tu ciekawych kamieniczek. Warto rzucić okiem na dom nr 11, który pamięta jeszcze, mimo późniejszych przebudów, XV wiek! Stojąc po przeciwnej stronie placu rynkowego, turysta o wprawnym oku dostrzeże na lewo od wspomnianej kamienicy zalesione wzniesienie, w zasadzie będące już boczną odnogą Pasieki (540 m). Tymczasem szlak zielony, który mozolnie prowadzi coraz wyżej pięknym stokiem, daje znać wędrowcowi opuszczającemu Rynek, że to już góry. Nazwa Złotego Stoku to przysłowiowy strzał w dziesiątkę, bowiem jego centrum faktycznie leży na stoku. Miejscowość usytuowana jest na pograniczu Sudetów Wschodnich (ściślej – Gór Złotych) i Przedgórza Sudeckiego (konkretnie – Przedgórze Paczkowskiego).

Chodnik, droga wyłożona trylinką, potem gruntowa droga i asfalt – tak rozmaite nawierzchnie przyjdzie zobaczyć amatorowi opisywanej trasy, aż do miejsca, w którym szlak odbije z doliny Złotego Potoku, zwanego też Trującą, w lewo. Autorzy tomu 17. „Słownika geografii turystycznej Sudetów” przestrzegli turystów, iż wody tego cieku nie nadają się do picia. Zakręt szlaku znajduje się obok potężnej skalnej (łupkowej) ściany. To jednak nie naturalna odsłodka, a wynik działalności kamieniołomu.

Dalszy etap trasy będzie stawał się stopniowo coraz dzikszy. Oczywiście nie prowadzi przez tropikalny las, pełen jadowitych węży, ale – jak w innych rejonach Sudetów – możliwość spotkania zmił zygzakowatej istnieje. Szeroki, na jednym odcinku brukowany dukt zmienia się w węższą drogę, pięknie prowadzącą skrajem polany i lasu. Doskonale widać z niej fragment „czapy” wspomnianej już Pasieki, która w niczym nie przypomina położonej w południowej, znacznie wyższej części Gór Złotych, Pasiecznej (928 m), noszącej taką samą nazwę, jak wieś koło Jaworzyny Śląskiej na Przedgórzu Sudeckim. I w tym miejscu piechur może pomachać na pożegnanie Przedgórzu, z tym, że zupełnie innej jego części. Za plecami zobaczy tu bowiem dość płaskie Przedgórze Paczkowskie, stykające się z krańcem Gór Złotych.

Po chwili wąska droga, już całkiem w lesie, znów zmienia się w bardzo szeroki dukt. Kto myśli, że tak będzie dalej, jest w dużym błędzie. Po skręcie w lewo szlak prowadzi coraz bardziej stromo do góry, a momentami wąziutka, niezbyt wyraźna ścieżka ginie w chaszczach.



**Naparstnica purpurowa (*Digitalis purpurea*)
na siodle między Pasieką a Kikołem**

Kto powędruje tędy letnim porankiem, może być mokry po pas. Nagrodą za tę niedogodność jest widok pięknych okazów naparstnicy purpurowej. Można się w niej dopatrzeć pewnej analogii do... kiści winogron, bowiem kwiaty naparstnicy też tworzą takie jakby grona. Może to i fantazja, ale... Na znakowanej zielonym kolorem trasie spotkamy jeszcze bardziej imponujące okazy tej pięknej rośliny, nim jednak to nastąpi, szlak pozostawia z lewej strony wierzchołek Pasieki i po 1 godz. 20 min. samego marszu (licząc od początku trasy) doprowadza do słupka granicznego. Wszak jest to szlak graniczny. Nieco później, na niewielkim siodle z polaną znowu można cieszyć oczy purpurową roślinką.



Przełęcz Różaniec

Ścieżka prowadzi później ponownie pod górkę pnąc się na grzbiet Kikoła (671 m), wzniesienia o dość osobliwej nazwie. Bywa ono różnie określane – czasem jako Kikoł, niekiedy – Kikot. Kto chce, może więc sobie wybrać tę nazwę, która najbardziej przypadła mu do gustu. Co ciekawego oferuje Kikoł ze swojego grzbietu? Kilka widokowych „okienek” czyli otwartych miejsc na zalesionym grzbiecie. Widać z nich głównie Góry Bardzkie z ich najwyższymi wzniesieniami oraz Góry Sowie, ale nie tylko. Przy dobrej pogodzie ładnie prezentuje się stąd najwyższa na Przedgórzu Sudeckim Ślęza (718 m). Dalej szlak osiąga wierzchołek Kikoła (2 godz. 40 min. samego marszu od startu). W przeciwieństwie do niższych partii jego rozległego grzbietu, szczyt nie jest punktem widokowym. Bez możliwości podziwiania panoramy turysta musi się obejść w zasadzie aż do tzw. Przełęczy Jawornickiej (750 m). No chyba, że za widok uznać częstą tu naparstnicę purpurową. Wspomniana przełęcz oddziela Jawornika Wielkiego (872 m) od Jawornika (760 m). Według niepotwierdzonych teorii, Jawornik Wielki miał być w czasach Prasłowian ośrodkiem kultu, jako siedziba bóstw podziemnych i śmierci. Na przełęczy raczej nikt nie będzie się nad tym zbyt długo zastanawiał. Zza drzew można za to wypatrywać już Borówkowej (900 m), doskonale rozpoznawalnej dzięki stojącej na jej wierzchołku wieży widokowej. Na siodle zielony szlak skręca w lewo.

Po chwili marszu, za skrzyżowaniem (tym razem w prawo) na Jaworniku Małym (756 m), szlak zaczyna tymczasem prowadzić wyraźnie w dół przez niewielkie rumowisko skalne. Doprowadza w końcu na Przełęcz Różaniec (583 m; 3 godz. 50 min. samego marszu od startu). Niektóre opracowania podają, że jej nazwa wywodzić się ma jakoby od głazów narzutowych przywleczonych tu przez lodowiec, które ułożone rzędem przypominają paciorki różańca. Turyście maszerującemu zielonym szlakiem bardziej rzucą się tu w oczy betonowe słupki i... (a jakże) naparstnica purpurowa. Za przełęczą szlak znowu pnie się pod górę prowadząc przez łatwe do przegapienia (ale o ciekawych, bo trójczłonowych nazwach) wzniesienia: Krowią Górę Małą (755 m) i Krowią Górę Wielką (803 m). Podejście w letni dzień daje się tu we znaki, więc niejednemu piechurowi trudno już będzie cieszyć się widokiem roślinki. Szlak mija z lewej niewielkie, ale rzucające się w oczy, formacje skalne doprowadzając na rozległą polanę z położonymi wysoko (bo to już wierzchołek Borówkowej) zabudowaniami. Po stronie Republiki Czeskiej w jednym z nich działa sezonowy bufet. Dominantą jest jednak oczywiście wieża widokowa. Turysta maszerujący opisywanym szlakiem ze Złotego Stoku dojrzy z niej wzniesienia, przez które dane mu było wędrować. Ale nie tylko, panorama obejmuje bowiem – obok lwiej części Gór Złotych – również m.in. spore fragmenty Gór Bardzkich, Masywu Śnieżnika czy Przedgórza Sudeckiego. Na wierzchołku można też odbyć swoistą lekcję historii czytając poszczególne teksty na tablicach ustawionych tu i przymocowanych w rozmaity sposób. Nawiązują one do spotkań Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej w latach 1987–1990.

Z wierzchołka Borówkowej szlak prowadzi początkowo leśną drogą wysypaną kamieniami, po czym odbija nieco w prawo na gruntowy leśny dukt, a w zasadzie na szeroką ścieżkę. Mija niewielką, malowniczą

polankę, po czym wyprowadza z lasu na rozległe łąki. To kolejny, niezwykle malowniczy i miejscami widokowy odcinek trasy. Mimo że o takiej panoramie jak z Borówkowej trzeba tu zapomnieć, jednak widok na fragment Masywu Śnieżnika i leżące w dole zabudowania Lutyni jest godny uwagi. Kiedy turysta dostrzeże ławeczki i parking samochodowy, to oznaka, że dotarł do kolejnego na trasie siodła – Przełęczy Łądeckiej (665 m), czyli do kresu opisywanego niniejszym odcinka zielonego szlaku granicznego (który oczywiście wiedzie dalej). Czas samego marszu proponowaną trasą, od Rynku w Złotym Stoku do parkingu na Przełęczy Łądeckiej (12 km), wynosi 6 godz. 50 min.



Masyw Śnieżnika znad Przełęczy Łądeckiej

Pozostaje teraz wydostanie się ze wspomnianej przełęczy. Jak to uczynić? Najbliższy przystanek autobusowy znajduje się w miejscowości Travná (Republika Czeska). Po polskiej stronie najbliższy przystanek, do którego docierają regularne linie autobusowe, znajduje się w Łądku-Zdroju. Wędrować tam można np. malowniczą polną dróżką z Przełęczy Łądeckiej, a następnie poboczem asfaltowej drogi, m.in. wzdłuż zabudowań Lutyni. Przystanek Łądek-Zdrój przy ul. M. Konopnickiej osiągnie się idąc od Przełęczy Łądeckiej (5 km) w około 1 godz.

Uwaga: wszystkie podane czasy marszu dotyczą warunków letnich, przy korzystnej do wędrowki pogodzie.

Bartosz Skowroński

Do schroniska

**Przemęczony dzień się kończy,
deszcz zacina bezlitośnie...
Nogi mamy coraz krótsze,
góra coraz bardziej rośnie.**

**Chleba coraz mniej w plecaku,
apetyty coraz lepsze,
a schronisko się ukryło
na piętnastym kilometrze.**

**Tunel ścieżki wśród zieleni...
Ciekną z liści wielkie krople.
Choć jesteśmy przemoczeni,
jeszcze każdy lepiej moknie.**

**Plecak wzgórzy się na karku.
– Czy dojdziemy dzisiaj? – Nie wiem.
A zza lasu miga światło.
Kto nam kazał ruszyć biegiem?**

**A w schronisku są już inni
I żartują z nas i z nami
Tuż przy piecu obwieszonym
Jak choinka skarpetkami.**

**Bigos trochę ułagodził
Apetyty nasze młode.
– Czy ruszamy dalej jutro?
– Tak. Bez względu na pogodę.**

Wincenty Faber

Bocianie szlaki są też dla ludzi (1)

Te wspaniałe ptaki już tak mają, że kolejne ich pokolenia wracają nawet po kilku latach do gniazd, z których wyleciały w świat. Niezwykłe jest i to, że w polskiej kulturze i sztuce, w wielu przysłowiach ludowych, bociany mają swoje znane od wieków miejsce, są uważane za symbol szczęścia i chronią przed pożarem. Mają to miejsce także w tradycji krajoznawczej i są uznawane za trwałe element naszego krajobrazu i osobliwości naturalnych. Nic zatem dziwnego, iż uznaliśmy je za wiernych towarzyszy naszych wędrówek po kraju.

Po raz pierwszy w Polsce liczone bociany w 1876 r. na terenie ówczesnej Galicji, z inicjatywy Eugeniusza Janoty (1823-1878). Ten przyrodnik, ksiądz, nauczyciel gimnazjum w Krakowie, współzałożyciel Towarzystwa Tatrzańskiego, badacz kultury górali podhalańskich, był wychowawcą Walerego Eliasza Radzikowskiego, któremu pomagał pisać tatrzańskie przewodniki. Sam z powodzeniem poznawał wiele szczytów Tatr i zasłużył się w ochronie zwierząt halskich – kozic i świstaków.

Współcześnie, dokładniej od 1934 r., Międzynarodowy Spis Bocianów Białych wykonywany jest przez wielu wolontariuszy co 10 lat, w latach czwartych kolejnego dziesięciolecia.

Wypada powiedzieć: „bocianów ci u nas dostatek”, bowiem w 1974 r. doliczono się 32 tys. par, w rekordowym roku 2004 – 52 tys., a w 2015 r. liczba ta zmalała do 43 tys., co kwitowano stwierdzeniem, że „co czwarty bocian w Europie był... Polakiem.” Jednak wspomniane liczby to nie tylko żarty. Istotnie, bocian biały uznawany jest przez ornitologów i ekologów za „wskaźnik czystości środowiska”. Okresowe zmniejszanie się ich liczby świadczy jednak nie tylko o stanie środowiska, mają na nie wpływ także warunki panujące w krajach zimowania bocianów oraz „przygody” w drodze do Polski, także m.in. polowania na te ptaki w kilku krajach.

Wiekowa tradycja, sympatia i nieprzeciętna ilość bocianów w naszym kraju sprawiają, że są one wyróżnikiem szlaków krajoznawczych i turystycznych; znalazły się w nazewnictwie prezentowanych przez przewod-

niki miejsc („szlaki bocianie” prowadzące przez „wsie bocianie”, w których są izby ornitologiczne i małe muzea przyrodnicze z bocianami w roli głównej). Oczywiście, są to także szlaki prowadzące „ptakolubów” do krajoznawczej turystyki przyrodniczej. (Cdn.)

Tomasz Kowalik



Fot. https://pixabay.com/p-3366/?no_redirect

Kijowska rozmowa o statkach kosmicznych

Osip Juljewicz Ratmanski – główny konstruktor urządzeń lotniczo-kosmicznych w Kijowskim Centralnym Biurze Konstrukcyjnym Automatyki – udzielił mi tego wywiadu we wrześniu 2003 r.

– *Zaczniemy od historii, od ludzi zasłużonych dla kosmonautyki radzieckiej, ludzi, którzy dali jej początek.*

– Pierwszymi radzieckimi konstruktorami i twórcami rakiet i statków kosmicznych byli Michaił Jangiel i Siergiej Korolow (urodził się w Żytomierzu). Walentin Głuszko (pochodzący z Odessy) był specjalistą w dziedzinie silników raketowych, a Archip Lulka (urodzony pod Kijowem) – silników turbodrzutowych. Zaś Igor Sikorski (urodzony w Kijowie), który po rewolucji emigrował do Stanów Zjednoczonych Ameryki, budował pierwsze samoloty wielosilnikowe i śmigłowce. Wszyscy, poza pierwszym, pochodzili z Ukrainy, prawie wszyscy byli związani z Politechniką Kijowską poprzez studia lub późniejszą pracę.

– *Czym zajmuje się Wasze biuro konstrukcyjne?*

– Nasze centralne biuro konstruuje urządzenia do silników odrzutowych i raketowych napędzanych paliwem ciekłym lub gazowym, agregaty systemów zachowania życia, klimatyzatory powietrza, termoregulatory, systemy awaryjnego ratownictwa załogi.

– *Wykonywanie takich urządzeń to chyba niezmiernie trudne zadanie...*

– Tak, to trudne zadanie techniczne. Żąda się od urządzeń wysokiej niezawodności, długiego resursu eksploatacji, odporności na przeciążenia, pracy w głębokiej próżni i wysokich temperaturach, i jednocześnie małego ciężaru. Nasze konstrukcje muszą spełniać te często sprzeczne wymagania.

– *Po co wysyła się satelity w kosmos? Czy to się opłaca?*

– Grają tu rolę dwa główne cele: badanie kosmosu i wykorzystanie praktyczne lotów. Oczywiście jest, że do badań kosmicznych budżety państw dopłacają. Natomiast praktyczne wykorzystanie aparatów kosmicznych jest bardzo szerokie: satelity są retranslatorami sygnałów radiowych, telewizyjnych i telefonicznych, w meteorologii oddają usługi w ciągłym sporządzaniu map zachmurzenia, cieplnego promieniowania Ziemi, ruchu cyklonów. Satelity umożliwiają dokładne ustalanie miejsc na oceanie, gdzie znajdują się statki. Zdjęcia satelitarne nie tylko pozwalają na śledzenie zmian roślinności, pokrywy śnieżnej, powodzi i pożarów, ale także na poszukiwanie złóż cennych kopalin. Zdjęcia kosmiczne stosuje się w geodezji i topografii, przy aktualizacji map. Nieważkość i próżnię wykorzystuje się technologicznie w krystalografii i wytwarzaniu bardzo czystych materiałów. Dlatego umieszczanie satelitów na orbicie okołoziemskiej w celach praktycznych jest w pełni opłacalne. Gdyby tak nie było, nasza wspólna platforma MORSKI START, przerobiona z platformy do wydobywania ropy naftowej, znajdująca się na Oceanie Spokojnym przy równiku, nie miałaby zleceń. Tymczasem Rosja, Ukraina, USA i Norwegia realizują tam wspólny program. Ukraina daje raketę, Rosja – kompleks startowy, USA – aparat kosmiczny. Z platformy tej zrealizowaliśmy już 8 udanych startów kosmicznych kompleksów raketowych.

– *Jak się tworzy takie kosmiczne kompleksy raketowe?*

– To złożone zadanie. Wielkie rakiety-nosiciele mają nieraz masę startową 3000 ton i długość ponad 100 metrów. 90 % całej masy zajmuje paliwo. W locie, w miarę zużycia paliwa, próżne baki kolejno odrzuca się. Dlatego rakieta jest konstrukcją wielostopniową. W silniku raketowym stosuje się dziś paliwo ciekłe, rzadziej stałe. Moc silników mierzy się dziesiątkami milionów kilowatów. Spalanie ogromnych ilości paliwa przebiega przy wysokich ciśnieniach i temperaturach. Musimy zatem rozwiązywać problemy chłodzenia silnika, stabilności dopływu paliwa. Zwykle kilka silników pracuje jednocześnie, trzeba więc synchronizować ich pracę, co jest zadaniem automatycznego systemu sterowania. System ten wykorzystuje żyroskopowe czujniki jako źródła informacji pierwotnej, porównując z nią położenie aparatu kosmicznego w stosunku do punktów na Ziemi i gwiazd. Komputer tak steruje pracą silników, by w momencie ich wyłączenia uzyskać właściwe położenie rakiety i statku na trajektorii. Przy tym trzeba jeszcze uwzględniać zginanie mało sztywnej powłoki rakiety i ruch cieczy w bakach. Mamy więc mnóstwo problemów do rozwiązania.

– *Wielokrotnie obserwowałem w telewizji start rakiety z kosmodromu. Co się dzieje dalej, gdy rakietę staje się już niewidoczna dla widzów?*

– Kosmiczny kompleks rakietowy po przejściu przez gęste warstwy atmosfery osiąga pierwszą prędkość kosmiczną (7,91 km/sek.) i wchodzi na orbitę okołoziemską. Jeżeli leci na Marsa, musi przekroczyć drugą prędkość kosmiczną (11,19 km/sek.). Gdy aparat kosmiczny przeznaczony jest do lądowania na innej planecie, następnie startu z niej i lotu w kierunku Ziemi, musi być wyposażony we własne silniki rakietowe, których nie odrzuca, jak to czynią satelity Ziemi. Potrzebne więc jest też paliwo, co bardzo podnosi masę startową kompleksu. W przyszłości problem ten rozwiążą jądrowe i elektryczne silniki rakietowe.

– *Jak to się dzieje, że człowiek miesiącami może żyć w statku kosmicznym?*

– W statku kosmicznym jest agregat, który miesza tlen i azot, znajdujące się tam w stanie ciekłym lub gazowym albo dowożone na orbitę statkiem bezzałogowym, dodaje wodę oraz utrzymuje pokojową temperaturę i właściwe ciśnienie. Atmosferę w statku oczyszcza z dwutlenku



Osip Ratmanski w Politechnice Kijowskiej

węgla system regeneracji, który na specjalnych filtrach rozpuszcza CO_2 w wodzie, następnie oczyszcza ją w procesie elektrycznym i zwraca do obiegu. Wodę do picia przywozi się okresowo z Ziemi lub wytwarza, łącząc wodór z tlenem w procesie spalania. Woda wydzielana z odchodów służy później do celów technicznych, a resztę wyrzuca się w przestrzeń kosmiczną w postaci rozpylonej. Żywność załoga zabiera ze sobą lub otrzymuje w trakcie pobytu na orbicie. Przy tym odchodzi od niesmacznych koncentratów w tubach na rzecz żywności naturalnej. W stacji MIR, gdy jeszcze krążyła, znalazła się nawet butelka szampana, przeznaczona do uczczenia uroczystości pokładowej. Pod potrzeby przyszłych długotrwałych lotów kosmicznych prowadzi się na pokładzie próby hodowli roślin, które nie tylko będą dodatkiem do jedzenia, ale i oczyszczą atmosferę z dwutlenku węgla. Niestety, nie da się przeciwdziałać nieważkości. Dlatego kosmonauci przebywają w kabinie w specjalnych kombinezonach, które uciskają mięśnie, nie dopuszczając do ich zwyrodnienia. Jeżdżą też po kolei na rowerze treningowym, który stoi w kącie kabiny. Do wyjścia na zewnątrz statku służą skafandry z autonomicznym systemem zapewnienia życia (jak u amerykańskich astronautów na Księżycu) lub z systemem połączonym ze statkiem. Skafander chroni człowieka w temperaturze $+80^\circ\text{C}$ na słońcu i -150°C w cieniu statku i dostarcza mu powietrza. Statek przy tym wiruje, co powoduje równomierne jego ogrzewanie. Podczas zewnętrznej naprawy statku stosuje się narzędzia z magnesami, by nie rozleciały się w kosmosie.

– *Na orbitach okołoziemskich krąży kilka tysięcy satelitów. W jaki sposób pozbywamy się niepotrzebnych?*

– Gdy satelita ma na pokładzie energię, steruje się jego lotem tak, by spadł do oceanu. Ogłasza się wówczas komunikat, jak rozległa jest strefa zagrożenia, by statki morskie mogły z niej wypłynąć. Takie komunikaty wydaje się też w przypadku padania do oceanu zużytych stopni rakiety, po jej starcie. W taki właśnie sposób informowaliśmy o strefie upadku statku MIR, gdy nastąpił dzień jego zatopienia. Gorzej jest z satelitami, zwłaszcza starymi, które nie posiadają silników z paliwem, jakimi można byłoby sterować. Gdy satelita taki wchodzi w atmosferę, cała nadzieja jest w tym, że spali się w niej, zanim doleci do Ziemi, a jeżeli już dolećca szczątki, to trafią nie w ląd, lecz w wodę, bo jest jej więcej. Ale zdarzają się niespodzianki. W latach 80. miał miejsce pojedynczy wypadek, gdy radziecki sputnik upadł na terytorium Kanady. Były dyplomatyczne kłopoty, choć żadnej szkody nie spowodował.

– *Czy mimo dokładności i odpowiedzialności konstruktorów i wykonawców aparatów kosmicznych zdarzały się Wam awarie?*

– Tak. Dwa aparaty kosmiczne FOBOS w latach 80. wysłaliśmy do Marsa. Zaczęły one krążyć wokół marsjańskiego księżyca Fobos. Po pewnym czasie zamilkły, choć miały baterie słoneczne. Być może nadal krążą, choć nic o nich nie wiemy. W aparatach było dużo ukraińskiej techniki. Dziś systemy w aparatach kosmicznych podwaja się. W FOBOS-ach nie wszystkie podwoiliśmy, by ograniczyć ciężar. Mimo dokładnej dokumentacji, atestacji materiałów, prowadzenia historii produkcji i montażu z nazwiskami wykonawców, nie udało się. Byłem w komisji, która długo zastanawiała się nad przyczynami, ale ich nie znalazła. Bardzo to przeżywaliśmy w naszym biurze konstrukcyjnym.

– *Słyszałem kiedyś taką opinię, że radzieckie rakiety i statki kosmiczne były jakoby mniej bezpieczne dla załóg niż amerykańskie.*

– Spośród kosmonautów radzieckich zginęli czterej: Komarow w 1967 r. na skutek awarii spadochronowego systemu lądowania, a także Dobrowolski, Wołkow i Pacajew w 1971 r. z powodu dehermetyzacji kabiny statku na wysokości 50 km. W Stanach Zjednoczonych natomiast, tylko w ostatnich latach zginęło 13 osób – załogi statków CHALLENGER i COLOMBIA, nie licząc tych, co zginęli w latach 60. (np. trzy osoby w 1967 r.). Nie sądzę więc, by opinia ta była sprawiedliwa.

– *Trudno powstrzymać się od pytania o tragiczny los Jurija Gagarina...*

– Znałe mi są różne pogłoski na temat śmierci pierwszego kosmonauty. W kręgu ludzi, wśród których pracuję, a którzy uczestniczyli w ustalaniu stanu faktycznego, za prawdziwą przyczynę śmierci Gagarina uznaje się wypadek samolotu, który pilotował pilot oblatywacz pułkownik Sieriożyn. Pułkownik był chory, nie powinien był lecieć. Ale jako dowódca pułku zdecydował sam. Podczas lotu dowódca zasnął, siedzący na miejscu pasażera Gagarin nie zdążył przejąć prowadzenia samolotu. Ustalono, że samolot MIG był sprawny.

– *Obserwuje się ostatnio jakby przerwę w dalszym zdobywaniu kosmosu i to zarówno po stronie amerykańskiej, jak i rosyjskiej. Czyżby tak było rzeczywiście?*

– Z upadkiem statku MIR do oceanu i rozpoczęciem budowy międzynarodowej stacji kosmicznej ALFA zakończył się etap orbitujących wokół Ziemi statków jednorazowego użytku. Próby z wahadłowcami COLOMBIA i BURAN nie dały spodziewanych rezultatów. Sądzę, że stacja ALFA zastąpi załogowe statki kosmiczne. Udział Rosji i Ukrainy w tej stacji – to blok bazowy i wiele systemów pokładowych, razem 15–20%. Nie dostrzegam jednak przerwy czy granicy w penetrowaniu dalszych obszarów kosmosu. Tam automaty spisują się coraz lepiej.

– *Z naszej rozmowy wynika, że Ukraina wniosła znaczny wkład w rozwój kosmonautyki radzieckiej, a ostatnio rosyjskiej...*

– Mamy w naszym kraju 28 zakładów produkujących na rzecz kosmosu. Zakłady JUŻMASZ w Dniepropietrowsku, gdzie dyrektorem był kiedyś prezydent Leonid Kuczma, produkują wciąż doskonałe rakiety ZENIT. To one dostarczają zmienników i zapasy do międzynarodowej stacji kosmicznej. Ukraina sama wysyła własne sputniki telekomunikacyjne SICZ. Według danych z amerykańskich czasopism naukowych Ukraina jest czwartą potęgą kosmiczną, po Stanach Zjednoczonych, Rosji i Francji.

– *Czy Polska wspiera Ukrainę w kosmosie?*

– Tak. W wielu naszych sputnikach była polska aparatura badawcza, zwłaszcza do badania Słońca. A Piotr Klimuk, z którym rozmawiałem, bardzo wysoko ocenił rolę, jaką odegrał w badaniu kosmosu z orbity Mirosław Hermaszewski.

– *Na zakończenie kilka słów o sobie...*

– Ukończyłem Politechnikę Kijowską. Mieszkam w Kijowie w wysokim domu na piątym piętrze w centrum miasta. Mam niewielką dachę poza miastem. Jeżdżę tam w soboty z żoną, która jest lekarzem psychiatrą. Syn jest solistą Królewskiego Baletu w Kopenhadze. Cóрка, jako matematyk, pracuje w Akademii Nauk Ukrainy. Czuję się związany z Polską przez mojego dziadka, który miał majątek w Żelazowej Woli.

– *Dziękuję za rozmowę.*

Janusz Fuksa



Dampferparade unter dem Blaues Wunder

Już na samym wstępie proszę Czytelników o odrobinę wyrozumiałości. Nie zamierzam naruszać ustawy o języku polskim i jego stosowaniu w informacjach przeznaczonych do odbioru publicznego. Po prostu to hasło (może być też *Flottenparade auf der Elbe*) należy wklepać w Google (czyli „wygugłować”...), aby na własne oczy zobaczyć to, o czym niżej. Warto to zrobić wczesną wiosną. Dlaczego?

Z Gliwic do Drezna samochodem jedzie się jakieś 4,5 godziny. Z Wrocławia już tylko nieco ponad 2,5. Wstając 1 maja o świcie (wrocławianie mogli pospać nieco dłużej...) mieliśmy akurat tyle czasu, by zdążyć na niezwykle oryginalne widowisko odgrywane się na wodach Łaby: doroczną paradę saksońskiej „Białej Floty”. *Dampfer* bowiem (właściwie: *Dampfschiff*) to po niemiecku parowiec.

Flotę dziewięciu historycznych bocznokołowców drezdeńskiego armatora *Sächsische Dampfschiffahrt* otwiera obecnie flagowy „Dresden”, zbudowany w 1926 r. „Diesbar” (1884) – to jedyny statek floty z kotłami opalanymi w dalszym ciągu węglem (pozostałe mają już nowoczesne kotły opalane lekkim olejem opałowym). Jego maszyna parowa, pochodząca z wybudowanego w 1841 r. parowca „PD Bohemia”, jest dziś uznawana za najstarszą czynną maszynę parową na świecie! Dalej idą „Krippen” (1892), „Leipzig” (1929) – najmłodszy statek floty, „Meissen” (1885), „Pillnitz” (1886) – siostrzana jednostka „Meissen”, „Pirna” (1898), „Kurort Rathen” (1896) i w końcu najstarszy we flocie – „Stadt Wehlen” (1879). Wszystkie te historyczne jednostki mają obecnie status zabytków techniki.

Uzupełniające flotę dwa nowoczesne statki-salony noszą nazwy „August der Starke” i „Gräfin Cosel” (czyli „August Mocny” i „Hrabina Cosel”). Ta wyjątkowa para bardzo mocno osadzona jest w historii Saksonii, przy czym słowo „osadzony” wyjątkowo dosłownie brzmi w odniesieniu do hrabiny Anny Konstancji Cosel, faworyty króla Augusta Mocnego, która – jak wiadomo – spędziła aż 49 lat uwięziona przez niego w zamku w nieodległym Stolpen.

Statki zabierają łącznie ok. 2400 osób. Bilety na rejs – z żywą muzyką na pokładzie! – to wydatek 35,00 euro od osoby, jednak z reguły trzeba je rezerwować znacznie wcześniej, bo chętnych nie brakuje! Równie atrakcyjne (a darmowe!) jest jednak oglądanie całej parady z brzegu. Plusem jest to, że całą flotę, która na co dzień pływa na różnych trasach według określonego rozkładu, tu ogląda się na wodzie w jednym miejscu i w jednym czasie. Statki wypływają z przystani *Terrassenufer* w Dreźnie o godzinie 10.00. Płyną w górę Łaby bez normalnych przystanków aż do Pillnitz, gdzie z reguły meldują się ok. godziny 12.00. Tam zawracają i ponownie bez przystanków płyną w dół rzeki, by ok. 13.30 zacumować na powrót przy *Terrassenufer*.

Decydując się na obejrzenie parady bocznokołowców zastanawiałem się, gdzie się ustawić, by mieć najlepszą widoczność. Myślałem o którymś z mostów. Ostatecznie stanęło na tym, że będziemy oglądać „Białą Flotę” nie z mostu, ale na tle mostu. I to nie było jakiego! Wybraliśmy bowiem dzielnicę Loschwitz i znajdujący się tu słynny *Loschwitzer Brücke*. Jeden z pierwszych na świecie wspornikowych mostów kratownicowych o takich rozmiarach (długość środkowego przęsła 146,7 m), zaprojektowany przez Clausa Köpcke, został oddany do użytku w 1893 r. jako piąta z drezdeńskich przepraw przez Łabę. Połączył Loschwitz na prawym i Blasewitz na lewym brzegu rzeki. Elementy mostu wykonano w *Königin-Marienhütte* w nieodległym Zwickau, z rzadko już dziś stosowanej stali zgrzewanej, otrzymywanej w procesie pudlarskim. Przy stosunkowo małej twardości (łatwość wiercenia otworów na nity!) posiada ona dużą wytrzymałość na rozciąganie i odporność na korozję. Dla ciekawskich: z takiego materiału zbudowano też m.in. Wieżę Eiffla.

Do 1912 r. most nosił oficjalną nazwę *König-Albert-Brücke*. Popularna nazwa



Każdą „połówkę” mostu podpira jeden filar, usytuowany już poza korytem rzeki (tu: strona Blasewitz). Parowce przepływające pod mostem muszą „składać” swoje kominy!

Blaues Wunder pochodzi stąd, że pomalowany został na niebieski kolor, natomiast ów „Wunder” (cud) nawiązuje do niezwykle śmiałej na swe czasy, przegubowej konstrukcji obiektu, którą według sceptyków jedynie cud miał utrzymywać nad wodą. Drugim cudem w dziejach mostu było to, że przetrwał on alianckie bombardowania Drezna w zimie 1945 r., zaś trzecim – że w maju tegoż roku dwóm bohaterskim mieszkańcom miasta udało się w ostatniej chwili przeciąć kabel i uratować zaminowany most przed wysadzeniem (jest tablica pamiątkowa!).



„Hrabina Cosel” – jeden ze „statków-salonów” drezdeńskiej floty

Atmosfera po obu stronach Łaby jest wybitnie piknikowa. Ludzie przyjeżdżają tu dość wcześnie (można wtedy jeszcze znaleźć miejsce do zaparkowania samochodu na pobliskich ulicach – i wygodne miejsce na brzegu!), rozkładają leżaki, stoliki i turystyczne krzeselka. Z turystycznych łodówek wydobywają zapasy i w oczekiwaniu na statki oddają się przyjemnościom „śniadania na trawie”. Inni (mniej zapobiegliwi – lub bardziej leniwi?) wypełniają szczelnie tarasy nadbrzeżnych piwiarni i restauracji. Kelnerzy roznoszą ciepłutkie, pachnące „wurstle” i chłodne piwo. Rośnie nastrój oczekiwania... Wreszcie są! Płyną długim sznurem, w odstępach na tyle dużych, że po zrobieniu zdjęcia można spokojnie zamówić kolejny kufel złocistego napoju (niestety, nie dotyczy to kierujących...).

Statki można oglądać dwa razy. Za pierwszym razem ok. 10.45, kiedy płyną w górę rzeki. Drugi raz około 13.00, gdy wracają do centrum Drezna. Czas po obejrzeniu parady można wykorzystać na sto sposobów. Oczywiście możliwy jest wyskok do centrum Drezna (liczne autobusy miejskie), w którym zawsze coś się dzieje i zawsze jest jeszcze coś do obejrzenia. Można również wybrać się w górę Łaby do pobliskiego Pillnitz, w którym główną atrakcją jest oryginalny pałac w zaskakującym stylu japońskim, otoczony pięknym parkiem. Przez krótki czas był on w posiadaniu wspomianej tu już hrabiny Cosel. Jedną z ciekawostek pałacu, godną obejrzenia, jest ozdobny kartusz z wyobrażeniem polskiego Orderu Orła Białego. A drugą – fakt, że to w jego ścianach odbyła się w sierpniu 1791 r. konferencja cesarza Austrii Leopolda II i króla Prus Fryderyka Wilhelma II zaniepokojonych przyjęciem polskiej Konstytucji 3 Maja oraz rewolucyjnym wrzeniem we Francji.

Jeśli jednak znaleźliśmy już w Loschwitz dobre miejsce parkingowe (o co w takim dniu nie jest łatwo!), możemy poświęcić popołudnie na zwiedzenie tej uroczej, willowej dzielnicy Drezna. Dawne Loschwitz rozwinęło się dzięki winorośli, uprawianej tu od XI w. na słonecznych stokach wzgórz nad Łabą. Od XVIII w. zaczęły się tu pojawiać podmiejskie wille, a następnie wygodne rezydencje letniskowe saksońskich elit politycznych i artystycznych, zaś miejscowość stała się jednym z bardziej snobistycznych letnisk w krajach niemieckich. Dłużej lub krócej mieszkali tu m. in. Wolfgang Amadeusz Mozart, kompozytor Carl Maria Weber, Johann Wolfgang Goethe, poeta i dramaturg Friedrich Schiller (ten od „Ody do radości”!), wybitny malarz romantyczny Caspar David Friedrich (m.in. pejzaże Karkonoszy) czy niemiecki pisarz i dramaturg Heinrich von Kleist.

Najbardziej nietuzinkową postacią ówczesnego Loschwitz był jednak angielski lord James Ogilvy, 7. hrabia Findlater, wygnany z Anglii z powodu swej orientacji homoseksualnej. Na wykupionych Winnicach wybudował on na początku XIX w. klasycystyczny pałac, uznawany wówczas za najpiękniejszy w całym Dreźnie. Dziś na tzw. *Findlaters Weinberg*, na miejscu budynku zburzonego w połowie XIX w. z polecenia księcia Albrechta Hohenzollerna, stoi nowy pałac Albrechtsberg. A grób Ogilvy’ego (i jego partnera) znajduje się przy miejscowym kościele ewangelickim, dopiero w latach 90. ubiegłego wieku odbudowanym po bombardowaniach z lutego 1945 r.

Godne polecenia są także dwie atrakcje techniczne Loschwitz. U wylotu mostu ma swoją dolną stację słynna *Schwebebahn Dresden* – najstarsza (1901 r.) kolej podwieszana na świecie, łącząca Loschwitz z położonym na wzgórzach Oberloschwitz. Z tarasu widokowego górnej stacji (84 m powyżej startu) rozciąga się ładny widok na dolinę Łaby. Druga atrakcja to jeszcze starsza (z 1895 r.) terenowa kolej linowa zwana *Standseilbahn Dresden*, biegnąca do dzielnicy Weißer Hirsch. Ciekawostką jest to, że na jej trasie znajdują się dwa tunele.

Mirosław J. Barański

Biblioteka RPK w Bukowcu wyróżniona

Wplebiscycie Radia Wrocław TOP5 dolnośląskich bibliotek, który zakończył się w marcu 2017 roku, radiosłuchacze wyróżnili pięć bibliotek będących, ich zdaniem, miejscami wyjątkowymi, przyjaznymi i zachęcającymi do odwiedzania. Nie są to biblioteki wielkie, te powszechnie znane, ale co innego miały na celu plebiscyt. O miejscu w rankingu decydowały dwa czynniki – ilość oddanych głosów oraz ocena pracy danej jednostki. Dzięki temu, biblioteki położone w mniejszych miejscowościach miały wyrównane szanse z jednostkami z dużych ośrodków miejskich, gdzie liczba czytelników korzystających z danych zasobów bywa znacznie większa. Tym razem, spośród zgłaszanych przez radiosłuchaczy placówek najlepiej wypadła biblioteka w Czarnym Borze. Tuż za nią uplasowała się Biblioteka pod Atlantami w Wałbrzychu. Trzecie miejsce zajęła biblioteka Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy działająca w Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu. Czwarte miejsce przypadło Książnicy Karkonoskiej w Jeleniej Górze, a piąte – Mediatece we Wrocławiu.

Biblioteka w Czarnym Borze jest także centrum kultury uważanym za jeden z najnowocześniejszych tego typu obiektów w Polsce. Biblioteka pod Atlantami to duży organizm mający oprócz siedziby głównej, mieszczącej się na wałbrzyskim Rynku, także kilka filii na terenie miasta. Książnica Karkonoska należy do grona bardziej rozpoznawalnych placówek bibliotecznych w skali kraju. Posiada bardzo obszerny zbiór regionalny, prowadzi działalność kulturalną na dużą skalę, a w jej strukturach działa, jako jedna z pierwszych i jednocześnie plasująca się w pierwszej dziesiątce tego typu placówek w Polsce, jeleniogórska biblioteka cyfrowa. Mediateka zaś to Miejska Biblioteka Publiczna we Wrocławiu mająca spore tradycje i liczne grono czytelników.

Biblioteka Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy działająca w Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu, która w przedstawionym rankingu zajęła trzecią lokatę, to miejsce niezwykle, inne niż te przedstawione powyżej. Jej usytuowanie w małej miejscowości, jaką jest Bukowiec w gminie Mysłakowice, może budzić pewne obiekcje, co do dostępności placówki, poza tym istnieje ledwie kilka lat. Niemniej w tym czasie placówka ta wykazała się znaczącą działalnością zarówno wystawienniczą, jak i wydawniczą. RPK wydaje własne publikacje, m.in. cykl wydawniczy „Zeszyty Historyczne”, który został wyróżniony w trakcie XXV Jubileuszowego Ogólnopolskiego Przeglądu Książki Krajoznawczej i Turystycznej II nagrodą w kategorii Informatory krajoznawcze. RPK organizuje liczne seminaria krajoznawcze, spotkania z ciekawymi ludźmi, a także spotkania przy ognisku czy wycieczki dla dzieci ze szkół podstawowych regionu. Pracownia włącza się również w liczne akcje skierowane do młodzieży, jak choćby projekt „Moja Mała Ojczyzna” oraz Młodzieżowy Ogólnopolski Konkurs Krajoznawczy PTTK „Poznajemy Ojcowiznę”. W roku 2016 Pracownia otrzymała Nagrodę Starosty Jeleniogórskiego – statuetkę „Liczyrzepy”. Również w zeszłym roku, na Uniwersytecie Łódzkim została napisana praca dyplomowa o naszej Pracowni.

Krzysztof Tęcza



Seminarium na Przełęczy Okraj

W 1997 roku nasz kraj na-
wiedziła jedna z najbar-
dziej tragicznych w skutkach
powodzi. Objęła przede wszyst-
kim dorzecze Odry. W jej wy-
niku śmierć poniosło ponad 50
osób, a poszkodowanych zosta-
ło ponad 200 tys. Szkody wy-
niosły ok. 30 miliardów zł (po
cenach z 2017 roku), a klęskę
nazywano powodzią stulecia
lub tysiąclecia. W przeciwdzia-
łaniu jej skutkom uczestniczyło
wiele służb, inspekcji i straży,
zwykli obywatele oraz organi-
zacje, takie jak Górskie Ochot-
nicze Pogotowie Ratunkowe.

Niebawem minie 20 lat od
tej katastrofy, dlatego Grupa
Karkonoska Górskiego Ochot-
niczego Pogotowia Ratunkowego i Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy przy Związku Gmin
Karkonoskich zorganizowały seminarium na temat „Udział ratowników Górskiego Ochotniczego Pogoto-
wia Ratunkowego w działaniach ratowniczych w trakcie powodzi w 1997 roku”. Wydarzenie miało miejsce
w schronisku PTTK „Na Przełęczy Okraj” w dniach 11–12.05.2017 roku. Patronat honorowy nad seminarium
objęła Anna Konieczńska – Przewodnicząca Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego Miasta Jele-
niej Góry i Powiatu Jeleniogórskiego.

W wydarzeniu uczestniczyli – poza ratownikami górskimi – naukowcy, przewodnicy sudeccy, członko-
wie PTTK, pracownicy Związku Gmin Karkonoskich i innych instytucji, przedstawiciele władz samorządo-
wych i mediów oraz mieszkańcy regionu.

Mirosław Górecki (Wiceprezes GOPR, Prezes Grupy Karkonoskiej GOPR) podziękował najemcom
schroniska za gościnę, przywitał uczestników i przedstawił gości. Wśród nich znaleźli się m.in.: Anna Konie-
czyńska (Starosta Jeleniogórski), Witold Szczudłowski (Dyrektor ZGK), Krzysztof Tęcza (Prezes Oddziału

PTTK „Sudety Zachodnie”), Andrzej
Mateusiak (Wiceprezes Oddziału
PTTK „Sudety Zachodnie”), Jacek
Dębicki (Naczelnik GOPR), Elżbieta
Zakrzewska (Dyrektor SP ZOZ My-
słakowice), Marcei Krajniak (Na-
czelnik Wydziału Zarządzania Kry-
zysowego Miasta Jelenia Góra), An-
drzej Marczak (Naczelnik Wydziału
Zarządzania Kryzysowego Powia-
tu Jeleniogórskiego, Prezes Komisji
Rewizyjnej GOPR), Mariusz Rze-
pecki (Naczelnik Grupy Wałbrzy-
sko-Kłodzkiej GOPR), Sławomir
Czubak (Naczelnik Grupy Karkono-
skiej GOPR).

Podczas pierwszej sesji przed-
stawiłem rys historyczny powodzi

fot. Zbigniew Piepiora



fot. Zbigniew Piepiora



na terenie Dolnego Śląska. Dyskutowaliśmy o Mysłakowicach 20 lat po powodzi, udziale ratowników GOPR w działaniach ratowniczych i ich współpracy z Lotniczym Pogotowiem Ratunkowym. Głos w dyskusji zabrali m.in. Mariusz Zaród (Naczelnik Grupy Podhalańskiej, który w 1997 roku pełnił funkcję Szefa Wyszukania GOPR), Mieczysław Przybylski (pilot) i Elżbieta Zakrzewska (Wójt Gminy Mysłakowice w 1997 roku).

Na drugiej sesji Andrzej Szpak z TVP Wrocław ukazał powódź z 1997 roku widzianą okiem jego kamery. Polskie Radio Wrocław jako źródło informacji dla zagrożonych powodzią przedstawił Piotr Słowiński. Swoimi wspomnieniami dzielili się także ratownicy GOPR, którzy brali udział w działaniach: Piotr Snopczyński, Jan Brzeziński, Grzegorz Tarczewski i Marian Sajnog. Ostatni z wymienionych poprowadził również panel dyskusyjny i podsumował seminarium.

Wydarzenie umożliwiło spotkanie się, wymianę doświadczeń i anegdot. Efektem seminarium będzie kolejny tom „Zeszytów Historycznych Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy”.

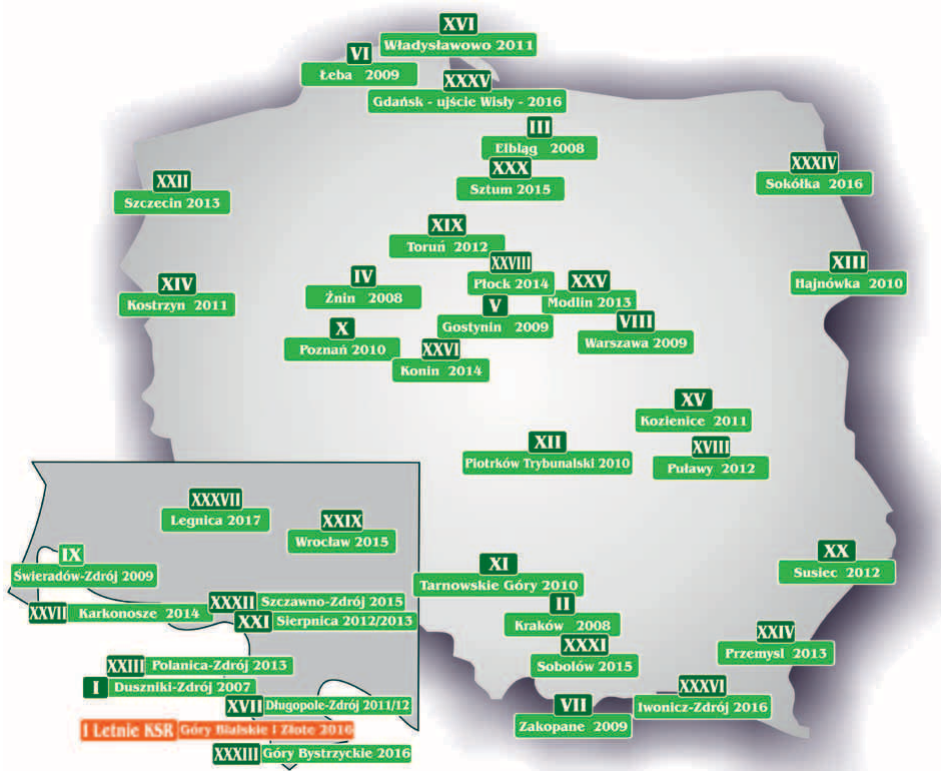
Zbigniew Piepiora



Krajoznawcze spotkania rodzinne

W październiku 2017 roku minie 10 lat od narodzenia się bardzo ciekawej, chyba dotąd niespotykanej, inicjatywy turystyczno-krajoznawczej. Spora grupka miłośników gór, zapalnych krajoznawców, bywalców wszelkich szlaków, postanowiła spotykać się i wspólnie spędzać pożytecznie czas. Ta grupka to my – zawsze mówimy o sobie „my”.

Naszym rodowodem jest Klub Zdobywców Korony Gór Polski. To idea poznawania polskich gór poprzez zdobywanie Korony skupiła nas w jednym gronie. Wszyscy jesteśmy z tej samej półki, myślimy tymi samymi kategoriami, te same wartości i zasady kierują naszymi poczynaniami, więc nie dziw, że zaprzyjaźniliśmy się. I to tak się zaprzyjaźniliśmy,



że spotkania wyłącznie na wyprawach Klubu Zdobywców KGP zaczęły nam nie wystarczać – po prostu uznaliśmy, że jest to stanowczo za mało.

W październiku 2007 roku, nasz przyjaciel Wiesiek z Warszawy wracając z kolejnego rajdu sudeckiego zatrzymał się w Szczawnie-Zdroju u naszych przyjaciół – Bogdy i Mietka. I tu Wiesiu wyrzekł te słowa, a Bogda i Mietek skwapliwie podchwycili, że spotykamy się za rzadko i jest na to tylko jedno lekarstwo – trzeba spotykać się częściej. Długie wieczorne rozmowy doprowadziły do wykrystalizowania się pewnej formuły spotkań, która sprawdza się do dziś. Polega ona na tym, że ktoś z naszego rodzinnego grona, czyli z rodziny turystycznej, organizuje kolejne spotkanie krajoznawczo-turystyczne na swoim terenie. Większość z nas to przewodnicy, przodownicy, instruktorzy, regionaliści, organizatorzy turystyki. Podczas tych spotkań poznajemy dany region, jego historię, geografę, kulturę i przyrodę. Nieraz wymaga to całkiem sporego wysiłku organizacyjnego, ale przecież to dla nas nie pierwsze. Zdarza się, że dzięki zawartym przyjaźniom spotykamy się nie na swoim terenie.

Każde spotkanie przygotowuje ktoś z nas, a koordynują i dopieszczają je nasi niestrudzeni – Bogda i Wiesiu.

Pierwsze nasze spotkanie pod szyldem Spotkanie Rodzinne Przyjaciół Pisma „Poznaj Swój Kraj” – odbyło się już w listopadzie 2007 roku w Dusznikach Zdroju; jeno miesiąc minął od pomysłu! Od tej pory było tych spotkań już 37. Jeździmy po całej Polsce, choć serce ciągnie nas przede wszystkim w góry. Ale to samo serce ciągnie nas także do siebie, by znów razem siedzieć przy stole czy ognisku i śpiewać stare, dobre piosenki, nie tylko turystyczne, przy dźwiękach gitary Sławka ze Żnina. To te wieczorne posiedzy przy gitarze, niekończące się opowieści, wspominki, rozmowy o wspólnej turystycznej przyszłości tak naprawdę skupiają nas coraz to gdzie indziej, w gronie prawie niezmiennym.

Ale uwaga! Jesteśmy absolutnie otwarci na „nowe twarze”. Plany nasze wybiegają na dwa lata naprzód. Nasze wspólne przygody opisujemy w kronice, zapraszamy też na stronę internetową – www.krajoznawcy.com.pl – nawet jak coś zapomnimy, w każdej chwili możemy do tego wrócić.

W 2010 roku nastąpiła zmiana szyldu, pod którym się spotykamy. Pewne względy spowodowały, że przyjęliśmy dla naszych spotkań nazwę „Krajoznawcze Spotkania



Zdobyciem Kowadła zapoczątkowaliśmy w 2016 r. letnie wędrówki KSR



Autor na szlaku

Rodzinne” w miejsce dotychczasowej. Nowe miano naszych spotkań przyłgnęło do nas – to była ta dobra zmiana, dzięki której czujemy się niezależni i wyróżnieni.

Jest nam ze sobą naprawdę dobrze, spotykamy się średnio cztery razy w roku, by śpiewać, marzyć i wspominać wspólne chwile „...do końca świata i jeden dzień dłużej”. Nie rościmy sobie żadnych praw autorskich co do idei spotkań i ich formuły, wręcz przeciwnie, polecamy je gorąco innym turystom – niech takich „rodzin” będzie więcej, a nawet – jak najwięcej. Niech idea takiego spontanicznego, niezinstytucjonalizowanego, prywatnego poznawania naszego kraju szerzy się, niech przybywa przyjaciół nie tylko nam, ale wszystkim w całej Polsce.

Naszym mottem i drogowskazem w wędrówce od spotkania do spotkania są słowa znanej pieśni, naszego nieformalnego hymnu „Trzeba gonić swe marzenia...”

O naszych kolejnych spotkaniach, o tym jak realizujemy nasze pasje i zainteresowania będziemy informować na gościnnych łamach „Na Szlaku”.

Sławomir Chojnacki

Pociągiem przez Beskidy

Już mało kto pamięta regularnie kursujące pociągi pasażerskie między Chabówką a Nowym Sączem. Jest to odcinek dawnej Galicyjskiej Kolei Transwersalnej. Linia kolejowa nr 104 łącząca te dwie miejscowości to jedna z najbardziej malowniczych tras w Beskidach. Mam na myśli linie Nowy Sącz – Krynica, Bielsko Biała – Zwardoń, a także Sucha Beskidzka – Żywiec. Ja miałem okazję skorzystać z kolei jadąc kiedyś z Rabki do Kasiny Wielkiej. Kiedy to było? W latach 80. A pociąg prowadził parowóz.

Ruch pasażerski zawieszono w roku 2004. W ubiegłym roku przeprowadzono prace przywracające funkcjonalność trasy, dzięki czemu pojawiły się pociągi retro. Także w bieżącym roku PKP Cargo zamierza zorganizować tam przejazdy – we wszystkie letnie weekendy, oprócz 19 i 20 sierpnia. Łącznie będzie 76 ogólnodostępnych pociągów prowadzonych przez lokomotywy parowe i spalinowe. Zestawione zostaną z zabytkowych wagonów. Tabor pochodzi ze skansenu kolejowego w Chabówce. Pociągi będą kursowały między Chabówką a Kasiną Wielką, ale operator zapowiada transport w ramach Małopolskich Szlaków Turystyki Kolejowej również na innych trasach Małopolski.

Do 3 grudnia zostanie zrealizowanych kilkadziesiąt przejazdów na liniach do Wieliczki, Gorlic, Biecza, Mszany Dolnej, Żywca, Tarnowa i Tuchowa, Nowego Sącza, Zakopanego, Krynicy Zdroju, Muszyny i innych miejscowości.

Szczegóły dotyczące sezonu 2017 i rozkład jazdy poszczególnych pociągów znajdziemy na stronach internetowych Skansenu Kolejowego w Chabówce.

<http://skansenchabowka.pl/wakacyjne-pociagi-retro-do-kasiny-wielkiej-2017/>

<http://skansenchabowka.pl/pociagi-retro/>

<http://kolejegalicyjskie.pl/>



Pociąg retro na linii 104 Chabówka – Nowy Sącz

Juliusz Wysłouch

Rekord nie do pobicia

Ci, którzy zdecydują się na wyjście w góry powinni... i tak dalej, i tym podobne. Powinni więc być dobrze przygotowani do wszystkiego, co może ich w górach spotkać. Czy jest to możliwe? Otóż nie. Jeszcze się taki nie urodził, który byłby gotów na wszelkie górskie okoliczności. Piszę 4 maja. Wysoko w górach jeszcze niemal pełnia zimy po kwietniowym gwałtownym jej powrocie. W górach spadło od 1 do 1,5 m śniegu. Wszak na Babiej, w Karkonoszach i w Tatrach ogłoszono wtedy 3. i 4. stopień zagrożenia lawinowego, więc to nie przelewki. A przecież ledwo dwa tygodnie wcześniej zakwitły łąny krokusów, a turyści cieszyli się pełnym słońcem i kilkoma ciepłymi dniami. No tak, ale kwiecień – plecień i takie tam...

Wspomniany koniec kwietnia obfitował w Tatrach w wiele nieprzyjemnych wydarzeń, a TOPR miał co niemiara roboty. Jednak na szczególną uwagę zasługuje przygoda dwóch turystów, którzy szli z Kuźnic na Halę Gąsienicową. Choć niejedno już widziałem i niejedno słyszałem, to o czymś takim jeszcze nie. Słyszałem o wielogodzinnych zimowych przejściach, a to o 6 godzinach ze Skawicy na Halę Krupową, a to o 9-godzinnym przejściu z Gołkowic na Przehybę; sam także posmakowałem nieraz uciążliwości poruszania się w głębokim śniegu, zadymce i silnym wietrze. Nic to jednak w porównaniu do tego, co wydarzyło się w czwartek 20 kwietnia.

O godzinie 3:33 (!) TOPR otrzymał zgłoszenie od dwóch turystów przebywających w pobliżu Wielkiej Kopy Królowej. Prosimi o pomoc, ponieważ gęsty opad śniegu i silny wiatr uniemożliwiały poruszanie się. Byli też bardzo zmęczeni. Zapyta ktoś: jak tu się zmęczyć na zwykłej grzbietowej ścieżce z Kuźnic na Halę? Co robili w tym miejscu o 3:33 nad ranem? Otóż szli, tylko że iść się nie dało. Tu istotna informacja: z Kuźnic wyszli około godziny 20:00. Jak nietrudno policzyć, byli na szlaku 7,5 godziny! W 7,5 godziny przeszli odcinek, który przewodnikowo idzie się niecałe 2 godziny. Przewodnikowo, czyli w optymalnych warunkach: przy dobrej widoczności, przyjaznej temperaturze, bez wiatru lub co najwyżej przy lekkim wiatereku, po suchej ścieżce. Cały szlak z Kuźnic przez Boczań i Skupniów Uplaz do Przełęczy między Kopami pokonuje się normalnie w 1 godzinę 50 minut (niech będzie, że w 2 godziny), a dołem przez Jaworzynkę czas przewodnikowy jest o kilka minut krótszy. Przejście z Kuźnic na Halę Gąsienicową trwa ok. 2,5 godziny, jak podkreślałem, w warunkach optymalnych.

Na szczęście nie zawiodła łączność i ratownicy mogli porozumiewać się z turystami. Poradzili, by rozpoczęli schodzenie po swoich śladach, a dwuosobowy patrol wyruszył z Murowańca (schronisko na Hali Gąsienicowej). Ratownicy dotarli do poszkodowanych o godzinie 6:45 w połowie Skupniowego Uplazu. Razem zeszli do Kuźnic, gdzie pojawili się o 8:45. Policzmy. Dotarcie ratowników do turystów zajęło ok. 2 godzin, kolejne prawie 2 godziny trwało zejście. Tamtej nocy spadło ponad 1 m śniegu i ogłoszono 4. stopień zagrożenia lawinowego.

Ważne są w tej opowieści następujące dane (niektóre powtórzę). Odległość Kuźnice – Przełęcz między Kopami to (w zależności od szlaku) 3,3 lub 3,2 km. Czas przejścia to, odpowiednio, 1 godz. 50 min. lub 1 godz. 45 min. Przewyższenie sięga 476 m. Idzie się zwykłą ścieżką. Owszem, ale tylko wtedy, gdy iść się daje. Warto sobie przeczytać te dane kilka razy i uzmysłowić sobie, co może dziać się w górach. My czasem nie do końca zdajemy sobie sprawę, co potrafi natura. To, co spotkało wspomnianą dwójkę, przekroczyło granice wyobraźni – nawet tych, którzy już **coś** w górach widzieli i przeżyli.

Został ustanowiony swoisty rekord: 7,5 godziny zamiast 1 godziny 50 minut. Czy jesteśmy w stanie coś takiego sobie wyobrazić? Całe wydarzenie należy rozpatrywać niemal w kategoriach cudu: to, że turyści przeżyli, nie stracili panowania i działali na tyle rozważnie, na ile się dało. Owszem, jedna decyzja nie była właściwa – wychodzenie z Kuźnic o godz. 20:00, w niesprzyjających warunkach. Dalsze wydarzenia to już tylko tej decyzji następstwa. Morał dla nas? Pomyślmy, zanim wyjdziemy na szlak.

Juliusz Wysłouch

Czy w Tatrzańskim Parku Narodowym padnie rekord sezonu?

„Lawina turystyczna” A.D. 2017

Walory lecznicze wielu naszych uzdrowisk to fikcja, innym słowem zwyczajna „ściema” i przysłowiowa „lipa”. Takie legendarne miasto jak Zakopane, gdzie smog panuje niemal przez cały rok, ściągając opłatę klimatyczną, czyli miejscową. A tymczasem wiadomo, że rzeczywiście czyste powietrze (?) jest nieco powyżej samowznajczej „stolicy Tatr”, dopiero wewnątrz Tatrzańskiego Parku Narodowego. Ale ta „firma” takich opłat nie pobiera, jednak sprzedaje bilety wstępu, więc ten proceder nazwać można nieco odmienną „opłatą za świeże powietrze”.

Nie ma najmniejszej szansy na policzenie – za pomocą wagi lub jakiegoś liczydła – ile w ciągu około 100 lat powstało opisów zagrożeń dla bezcennej tatrzańskiej przyrody, a także szkód wyrządzanych przez ludzi i naturalne żywioły w Tatrzańskim Parku Narodowym. Ani szkodnicy, umyślni lub nie, ani obrońcy osobliwości tatrzańskiej przyrody nie ustają w swoich działaniach. Na szczęście tym pierwszym daleko do sukcesów, a tym drugim od wielu dziesięcioleci nie brakuje cierpliwości i argumentów dla ochrony parku. Obie strony mają w swoich szeregach fanatyków i długie lata zarówno jałowej, jak i pożytecznej roboty. Park w Tatrach trzyma się swej wiekowej idei ochrony – musi trwać dla współczesnych i dla przyszłych, i to nie tylko Polaków.

Warto zdawać sobie sprawę z corocznej „lawiny turystycznej”, która zsuwa się, czy raczej spada (zgodnie z wieloletnią tradycją) na polską część Tatr bez uprzedzenia i ze skutkami niszczącymi chronione (często iluzorycznie) walory parku narodowego. W 2016 roku padł rekord liczby turystów – do Parku weszło ogółem 3,5 miliona osób (z czego tylko 18 sierpnia odwiedziło go 35 tysięcy – w tym Morskie Oko 12 tysięcy – turystów). Wśród nich w miesiącach wakacyjnych było ponad 49,3 tys. odwiedzających z kartą dużej rodziny. W minionym roku wybudowano pierwsze eko-zdroje wody pitnej (np. 3 przy dolnej stacji kolejki w Kuźnicach), a będzie ich więcej na początku kolejnych szlaków. Takie źródła mogą przyczynić się do ograniczenia ilości śmieci. Wypada tylko dodać, że rocznie z terenu TPN usuwane jest 12–15 ton odpadów, głównie plastikowych butelek.

Niestety, wiele wskazuje, że taka lawina turystyczna to nie jest co roku ostatnie słowo w tej sprawie. Kolejne sezony wakacyjne czy choćby tzw. długie weekendy potwierdzają, iż wielki, liczony w tysiącach, ludzki, turystyczny „owczy pęd” do Zakopanego i na szlaki Tatrzańskiego Parku Narodowego – to żywioł groźny, a paskudny jego wpływ na cenne zasoby chronionego parku narodowego jest nie do uniknięcia.

Powszechnie wiadomo, że mało która z osób tworzących wspomnianą „lawinę turystyczną” w Dolinie Chochołowskiej, Kościeliskiej i Roztoki oraz na asfaltowej szosie do Morskiego Oka, czyta elektroniczne wydania miesięcznika „Na Szlaku”. Od wielu dziesięcioleci pęd do serca Tatr jest nie do opanowania, nie można go ograniczyć w żaden sposób. To całkiem normalny, ludzki, „chciejski” pęd, o takim samym profilu psychologicznym jak „owczy pęd”. I w najbliższym czasie nie ma co pobożnie liczyć na opanowanie tego zjawiska społecznego i kulturowego zarazem (które w skrócie wypada nazwać jak wyżej) oraz na jakiś cudownie uniwersalny sposób wyeliminowania corocznego zagrożenia substancji przyrodniczej i krajobrazowej Tatrzańskiego Parku Narodowego. Jedynym, co mi przychodzi do głowy, gdy to piszę, jest nadzieja, że jednak TPN przetrzyma taki (a może jeszcze większy) najazd. Innymi słowy: „dłużej klasztoru niż przeora”, a dotyczy to również rozmaitych urzędów, z ministerialnym na czele.

Wiadomo, że jak było „przódzi”, do Morskiego Oka prowadziła owcza perć, gdy do wnętrza gór ciągnął kierdel podhalańskich owiec. Potem trzeba było używać furki konnej, by dotrzeć do wypasanych owiec i wywozić sprzęty do szałasów, zwozić mleko i sery. Następny etap to komunikacja i transport konny Doliną Roztoki do schroniska na morenie, a od 1908 r. – do istniejącego i dziś zabytkowego schroniska (knajpy?) przy jeziorze. Na tejże morenie (gdzieżby indziej?) w latach międzywojennych miało powstać wielkie schronisko. Projektował je m.in. architekt Przemysław Szafer (1920–2017), syn uczonego botanika, orędownika parku

narodowego w Tatrach i wielkiego obrońcy tatrzańskiej przyrody! Przeciw jego zbudowaniu był Mieczysław Orłowicz (1881–1959).

Z kolei, jak już była droga, to spróbowano na niej organizować (z powodzeniem) rajdy samochodowe i motocyklowe. Okazało się, że jeśli nie ma śniegu i lodu na tej drodze i nie blokuje jej masa lawinowego śniegu ze żlebów i stoków Wołoszyna, to i autobusy regularnej linii na pewno się tam zmieszczą. No i przez wiele lat na krętej górskiej szosie mieściły się – razem z setkami samochodów osobowych, których przybywało, w miarę jak się „Polakom żyło dostatniej”. Po zdroworozsądkowych ograniczeniach tego zaślepionego pędu ku naturze w czystej postaci, wprowadzono przepustki dla „specjalnych” turystów, z wyjątkiem pojazdów służbowych TOPR, Straży Granicznej (dawniej Wojsk Ochrony Pogranicza) i karetek pogotowia. Piwo w schronisku im. Stanisława Staszica miało i ma wielką siłę przyciągania, a więc moc „paliwa” napędzającego tłum „turystów” nad brzeg jeziora. Ostatnio nawet amatorów kąpiei w – a jakże – ekologicznej, krystalicznej wodzie.

Po latach wróciła trakcja konna, czyli stylowe dorożki, a wkrótce po nich 10-osobowe „fasiagi” (czyli platformy osobowe). Ale kto by tam przestrzegał normy obciążenia? Istota tej formy komunikacji polega na jak największym zarobku „na owies i siano” oraz piwo dla woźnicy. Konie padały, wdrożono śledztwo, zaproszono do współpracy weterynarzy, a wyklinano grubymi słowami obrońców przeciążanych koni. Kto nie wie, niech zapamięta: wasąg to powóz konny bez resorów, na czterech kołach, z platformą na bagaż, częściej z ławkami dla pasażerów, czyli prymitywny rodzaj transportu, w tym przypadku „pociągowy transport turystyczny”, płatny „od łebka”.

Co roku wiosną, latem i jesienią nastaje i trwa bezlitosny, bezmyślny „czas naporu” na park narodowy w Tatrach, na jego szlaki, z tym prowadzącym na Giewont i do schronisk włącznie. A w dni świąteczne Wielkanocy w kwietniu 2017 roku najazd na każdą polanę, gdzie kwitły krokusy, przypominał inwazję szarańczy, która zostawia po sobie gołą ziemię. Ale to tylko kolejne ubolewanie nad „rozlanym mlekiem” – TPN dysponuje zaledwie 8 funkcjonariuszami Straży Parku. Mają oni karkołomny (czyli niemożliwy do wykonania) obowiązek dopilnowania, aby na 275 km znakowanych szlaków nie wyrządzano szkody chronionej przyrodzie.

Niestety, poczynawszy od sławetnego zamordowania przez bezmyślnych osiłków turystycznych – w październiku 2007 r. na szlaku opodal Przełęczy Iwaniackiej (przejście z Doliny Chochołowskiej do Kościeliskiej) – dwuletniego niedźwiadka, poprzez dzikie biwakowanie, parkowanie samochodów, wprowadzanie psów, wypisywanie idiotyzmów sprejem na skałach, „szpanerskie” kąpiele w Morskim Oku, zadeptywanie kwitnących krokusów, startowanie na lotni z Rysów i Giewontu, ciągnięcie przez „ambitnych” rodziców i dziadków zapłakanych, umęczonych kilkulatków na najtrudniejsze szlaki, aż po zostawianie wszelakich odpadów (z odchodami włącznie) w zaroślach i pod głazami – to wszystko dla strażników TPN „chleb powszedni”, ale z tych najbardziej niestrawnych. Innymi słowy – **są bezradni** wobec tego turystycznego żywiołu.

Od początku swego istnienia, czyli ponad 60 lat, TPN ma niezmiennie te same kłopoty, zwłaszcza z naporem „turystów” (wiosennych, letnich, jesiennych oraz zimowych), a i wśród tzw. ludności miejscowej ma zagorzałych wrogów, z powodu zadawnionych pretensji o wykupione lub odebrane przez władze państwowe, górskie majątki.

Pozostają tylko pobożne życzenia, liczenie ton odpadów i kosztów ich usuwania, opisywanie karygodnych wydarzeń i ubolewanie, po fakcie, nad barbarzyństwem i objawami braku elementarnej kultury turystycznej. Cudu w Tatrach nie będzie, choćby go nawet na wniosek ministra środowiska uchwalił nasz Parlament. Ale to jest przysłowiowa nadzieja, matka... tych mniej mądrych i naiwnych, którzy czasem jeszcze ośmielają się nazywać siebie obrońcami narodowego dobra. Tego w granicach TPN i w wielu innych okolicach, z obszarami naszych 23 parków narodowych na czele.

Wypada cierpliwie oczekiwać na kolejny sezonowy rekord bezmyślnej, masowej „turystyki”, w Tatrzańskim Parku Narodowym.

Tomasz Kowalik



Jest taki rocznik krajoznawczy

Od ponad 25 lat istnieje czasopismo wydawane przez Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej w Pieninach, Polskie Stowarzyszenie Flisaków Pienińskich w Sromowcach Niżnych i Oddział Pieniński PTTK w Szczawnicy. Niestety, z tych samych od wielu lat powodów – niski nakład (od 1998 r. tylko 300 egzemplarzy!) – nie mają możliwości poznać jego treści nie tylko miłośnicy Pienin. W 2017 r. ukazał się kolejny 26. tom „Prac Pienińskich”. Wydawca nie ukrywa zdziwienia, że mimo wielu barier, publikacja jednak ujrzała światło dzienne, choć nie było łatwo, jak to w górach – często stromo pod górę i po kamienistych wykrotach.

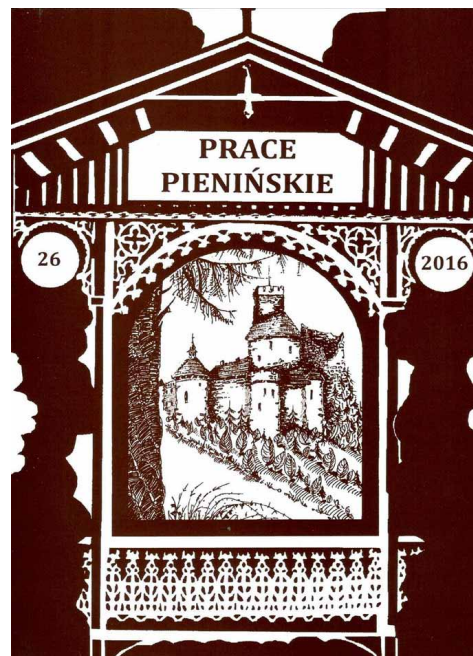
Wypada zatem podpowiedzieć czytelnikom, co ciekawego w tym nowym tomie „PP” warto przeczytać. Kilka tekstów nawiązuje do września 1939 r. w Pieninach (inwazja zaczęła się ze Słowacji po Drodze Pienińskiej nad Dunajcem do Szczawnicy). Następne poświęcone są rzece i dolinie, czyli „Przyrodniczym czynnikom rozwoju flisu w Pieninach” (Krzysztof Miraj), oraz 85-leciu Pienińskiego Parku Narodowego. W artykule „Sowy – latające koty (na świecie, w Polsce, w Pieninach)”, bodajże pierwszy raz na łamach „PP”, mamy przegląd gatunków tych ptaków oraz ich wizerunków w sztuce i legendach. Poznajemy też epizody kurierskie z lat II wojny światowej, na przykładzie rodziny Ligęzów z Waksmundu. Niezwykły jest tekst na temat tajemniczego morderstwa i rabunku pieniędzy w 1907 r. w Gorcach.

Na dalszych stronach przypomniano setną rocznicę ustawienia stylowego metalowego krzyża na Bryjarce, charakterystycznego elementu krajobrazu szczawnickiego uzdrowiska. Z okazji stulecia krzyża w 2002 r., parafianie i goście uzdrowiska ufundowali tablicę pamiątkową umieszczoną na jego podstawie. Kilka materiałów przedstawia obchody tradycyjnego „Roku Szalayowskiego w Szczawnicy”. Wymieniono kilka osób zasłużonych dla miasta w dolinie Grajcarka i nagrodzonych Medalami im. Józefa Szalaya z okazji 140-lecia śmierci twórcy uzdrowiska. Rocznicę uświetnił symboliczny obchód imienin Józefa w Muzeum Pienińskim, a także koncerty, gra terenowa „Zaszalay w Pieninach” oraz odsłonięcie figury harnasia na skalnej Kotońce w nurcie Dunajca. Pojawiła się też radosna informacja o odnalezieniu popiersia Józefa Szalaya, odlew z brązu skradzionego kilka lat temu z pomnika w centrum uzdrowiska.

W kronice zdarzeń na łamach 26. tomu „PP” odnotowano jubileusz wydania setnego numeru i 25-lecia pisma „Na Spiszu”, gazety Związku Polskiego Spisza. Przypomniano również lokalne rocznice zasadzenia sąsiednich miejscowości: 680-lecie Tylmanowej i 600-lecie Ochotnicy Dolnej. Jest też zapowiedź utworzenia Parku Archeologicznego, w którym będzie pokazany sławny bumerang z Jaskini Obłazowej w Nowej Białej opodal Białki Tatrzańskiej i Nowego Targu. Osobliwym wydarzeniem opisanym w tym tomie jest wystawienie na dziedzińcu zamku czorsztyńskiego opery Karola Kurpińskiego „Zamek na Czorsztyń, czyli Bojomir i Wanda” powstałej niemal dokładnie 100 lat temu.

Przypomniano ponadto pieniński wiersz „Widok spod Bereśnika” autorstwa Michała Jagiełły (1941–2016), taternika, ratownika, pisarza, działacza kultury. Zawartość 26. tomu „PP” zamyka szczegółowa „Kronika flisacka 2016”, w której znajdujemy informację o rekordowej liczbie 336,5 tys. pasażerów tratw w sezonie 2016 r. oraz listę 21 flisaków, którzy „odpłynęli do wieczności”, a także relację z tradycyjnej uroczystości rozpoczęcia kolejnego (184.) sezonu spływu, podczas której miało miejsce m.in. poświęcenie łodzi, przecięcie spryski (flisackiego wiosła), runda gości honorowych oraz członków Bractwa Kurkowego z jego królem.

Wątek flisacki wzbogaciła opowieść o spływie turystycznym – dawniej towarowym – na słowackim Wagu w Małej Fatrze na północy Słowacji. Gośćmi specjalnymi rozpoczęcia sezonu na Dunajcu byli też



członkowie Bractwa Flisackiego im. św. Barbary z Ulanowa, organizatorzy Spływu na Sanie. Ponadto wśród opisów innych pieniężskich rocznic znajdziemy fotoreportaż ze Srebrnego Jubileuszu rocznika „PP”, uroczystości, która odbyła się 7 maja 2016 r. w odbudowanym kilka lat temu reprezentacyjnym szczawnickim Dworze Gościńnym. Tom zamyka z tej okazji 25 barwnych reprodukcji okładek poprzednich wydań.

Tomasz Kowalik

„Prace Pienińskie” tom 26, pod redakcją Ryszarda M. Remiszewskiego, wydane przez Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej w Pieninach, Polskie Stowarzyszenie Flisaków Pienińskich w Sromowcach Niżnych i Oddział Pieniński PTTK w Szczawnicy, 473 stron + 8 barwnych wkładek; na okładce tytułowej – „we wrotach” zamek w Niedzicy.

Materiały krajoznawcze i kartograficzne Gdyni i całych Kaszub

Dzięki uprzejmości Miejskiej Informacji w Gdyni otrzymałem trzy różne publikacje, które – recenzując – mogę przedstawić czytelnikom „Na Szlaku”. Są to:

1. **„Fortyfikacje Gdyni i okolic. Mapa turystyczna”**; skala 1:35 000, opracow. Arkadiusz Woźniakowski, wyd.: Casamata, 2015 r.

Jest to pierwsza tego typu publikacja chyba od stu lat, pierwsza w historii Gdyni. Mapa jest dość obszerna, o wymiarach 68x48 cm, a oprócz tego zawiera na odwrocie 5 mniejszych, lecz bardzo szczegółowych fragmentów terenu. Towarzyszy tym mapom wysoce detaliczna legenda, wskazująca takie szczególne obiekty, jak: stanowiska dowodzenia, schronohangary, baterie artyleryjskie, torpedownię, schron przeciwatomowy i wiele innych, ciekawych obiektów. Aż dziw bierze, że taka publikacja uzyskała zgodę cenzury państwowej. Według tabelki „Legendy” mapa pokazuje: fortyfikacje polskie z lat 1930–1939, fortyfikacje niemieckie z lat 1939–1945 i fortyfikacje polskie po 1945 r.

W sumie jest to obraz Gdyni, jaki nigdy jeszcze nie był pokazywany.

2. **„Szlak historii militarnej Kaszub Północnych”**; skala 1:100 000, wyd.: INFORT, 2014 r.

Inicjatorem i redaktorem tej publikacji jest Stowarzyszenie Turystyczne „Kaszuby Północne” Lokalna Organizacja Turystyczna. Mapa jest duża (68x48 cm), dwustronnie drukowana; sytuje i opisuje 57 obiektów militarnych i historycznych, zarówno tych najstarszych (z 1462 roku), jak i współczesnych (z 1939 roku).

Zamieszczona na odwrocie treść opisowa (w trzech językach – polskim, angielskim i niemieckim) zredagowana jest w dwóch częściach: 1. Szlak historii militarnej Kaszub Północnych, 2. Muzea na szlaku, we Władysławowie, Jastarni, na Helu i w Świecinie.

Jest to chyba pierwszy w powojennej Polsce, wydany po 1945 roku tak dokładny pokaz obiektów historii militarnej tej części Pomorza Gdańskiego.

3. **„Kierunek Gdynia – praktyczne informacje”**

Jest to plan Gdyni, dwustronnie, gęsto zadrukowany, z tekstem w języku polskim i angielskim; format: 48x33 cm.

Drukowanych na papierze planów Gdyni było dotąd wiele, ale ten jest nieduży, dzięki czemu poręczny. Na odwrocie, w części opisowej – oprócz standardowych informacji dotyczących noclegów, gastronomii, kin, teatrów – zawiera bardzo bogatą treść krajoznawczą, na temat 7 muzeów i 36 obiektów, które „warto zobaczyć i warto odwiedzić”.

W grupie tych ostatnich są w Gdyni – o czym nie wiedziałem – dwie stalowe wieże widokowe, ogólnodostępne. Wszystko to, będąc w Gdyni, warto zobaczyć i odwiedzić!

Janusz Zaremba



Archeologiczne zabytki Pomorza

Tak się układa w życiu i turystyce, że archeologia jest najslabiej dostrzeganą dyscypliną naukową w warunkach terenowych i przez krajoznawców. Gdy idziemy na wycieczkę czy jedziemy rowerem, często rzuca nam się w oczy budynek, ruina, rzeka lub zielona przyroda.

Tym razem jest inaczej. Dwóch fachowych i osobiście zainteresowanych turystyką autorów pisze: *Przewodnik zawiera najważniejsze informacje, historię badań, ciekawostki w terenie i najlepsze sposoby dotarcia do blisko 60 wybranych obiektów.*

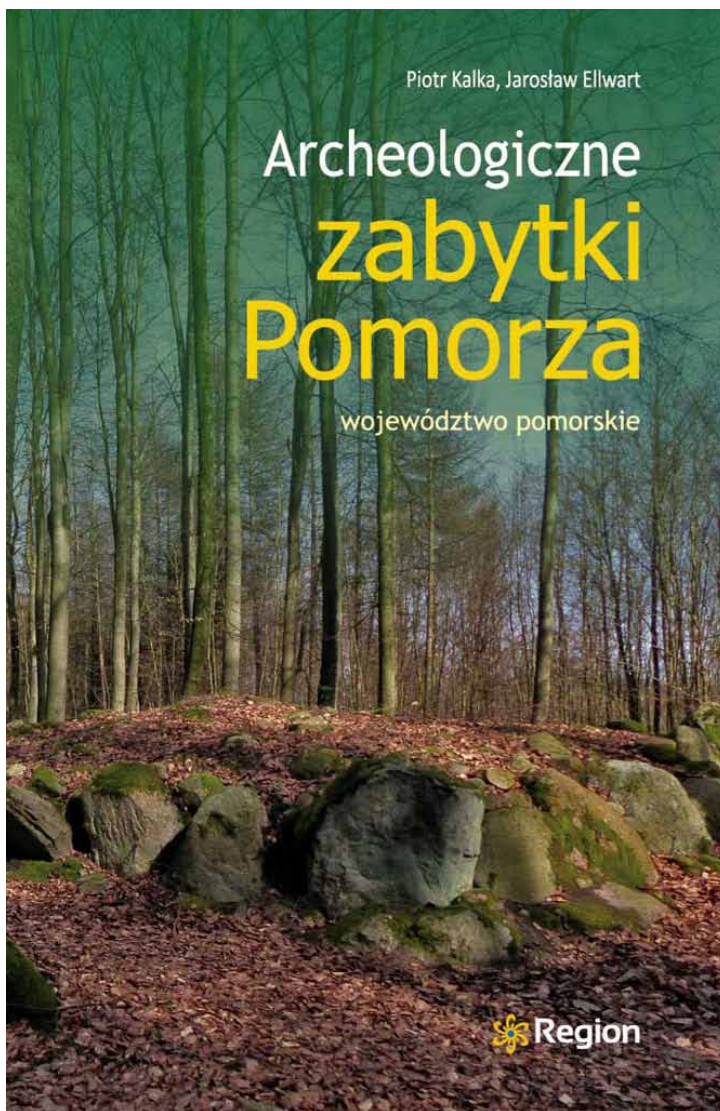
Treść książki, oprócz wstępu i kończącego temat „wyboru literatury”, zawiera pięć rozdziałów tematycznych: „Cmentarzyska” – 13, „Kamienne kręgi” – 4, „Grodziska” – 28, „Skanseny archeologiczne” – 6, „Muzea” – 4.

W każdym indywidualnym przypadku autorzy podają, jak dotrzeć do danego obiektu, zarówno prywatnym samochodem, jak i rowerem czy pieszo. Na niektórych szkicach widać nawet znakowane szlaki turystyczne PTTK (jak np. na stronie 162).

Przewodnik zawiera najważniejsze informacje, historię badań, ciekawostki i najlepsze sposoby dotarcia do około 60 wybranych obiektów, a autorzy: Piotr Kal-ka (archeolog) oraz Jarosław Ellwart (regionalista i znawca Pomorza) gwarantują wysoki poziom merytoryczny, praktyczny, a także wizualny publikacji.

Dlatego polecam (pierwsze dla całego regionu) wydanie przewodnika „Archeologiczne zabytki Pomorza”; Wydawnictwo Region, Gdynia, 2017, 224 strony.

Janusz Zaremba



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931